



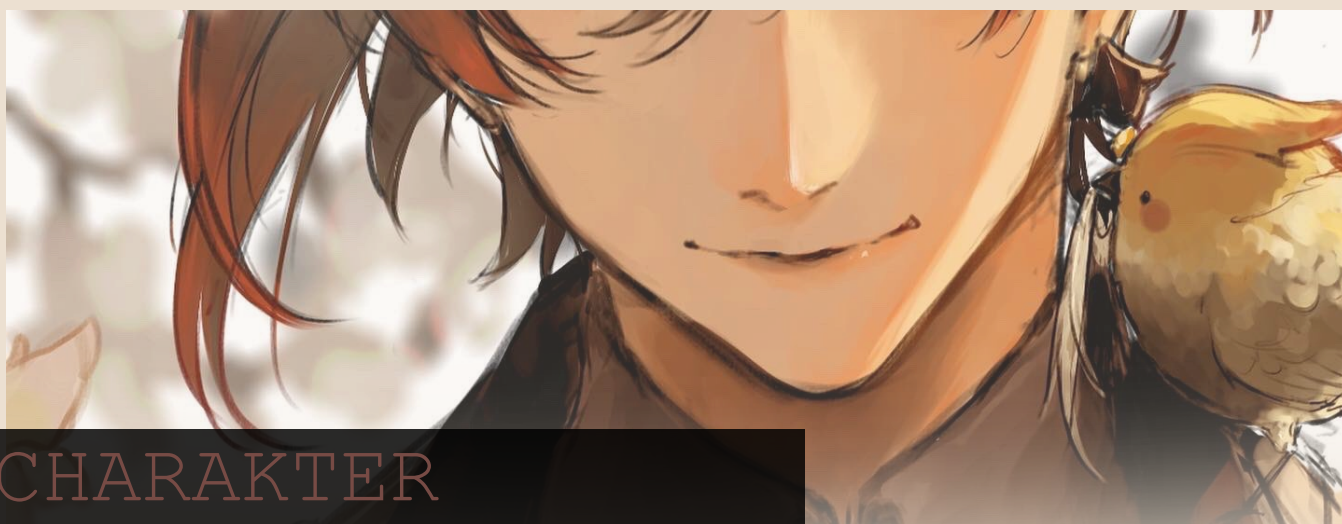
OGÓLNE



- obecne imię: Zhongli Jin
- dawne imię: Morax (Rex Lapis) Wang
- wiek: 36 lat
- orientacja: demiseksualny
- zawód: konsultant zakładu pogrzebowego Wangsheng

Współpracował z Fatui jako *Rex Lapis*. W zamian upozorowanie jego zabójstwa, zgodził się zawrzeć z nimi ostatni kontrakt w swoim życiu. Kontrakt kończący wszystkie kontrakty i jego tożsamość jako *Morax*, pozwalając mu tym samym odpocząć. Dzięki jego odejściu, Fatui miało wolną rękę do większego rozwoju w Liyue, tym samym mogąc zajmować

najbardziej znaczące miejsca w gospodarce.



CHARAKTER

Jest osobą wyjątkowo pasywną, bezkonfliktową. Patrzy z politowaniem na każde niepotrzebne użycie siły, głównie dlatego, że doskonale widział jak śmiercionośnie potrafi smagać. Odbierać to, co wartościowe. Niszczyć, zgniatać w rękach. Tłuc najpiękniejsze wazony na malutkie kawałki, pod wpływem afektu. Potrafi rozmawiać z ludźmi, bez używania manipulacji,

zdobywając to, co potrzebuje. Stawianie warunków uważa za lepsze, niż bawienie się w podchody i próby najszczelniejszego zaciśnięcia szczęk na czymś gardle, aby panicznie łapiąc dech zgodził się na wszystko. Osoba odcytana, koneser sztuki. Zwraca uwagę na największe starocie, nie uważając ich wieku i nadgryzienia przez ząb czasu za brzydotę. Wręcz przeciwnie. Śmiało stwierdza, że ślady pozostawione przez przeszłość są piękne. Obeznany w wielu dziedzinach - od historii Liyue, po ogrodnictwo. Z przyjemnością służy pomocą i chętnie poprawia innych, dokładnie mówiąc im, jak mają zrobić daną rzecz. Cena pieniężna nigdy nie wyznacza dla niego wartości danego przedmiotu. Nie patrzy na metkę, gotów będąc kupić coś nawet po zawyżonej kwocie. Bo wszystko ma jakąś wartość, a Zhongli akurat ma wyjątkowy dar do jej szacowania. Pamięć ma niezawodną. Niczym blacha, pamięta każde odgniecenie, cały swój kształt. Każdy szczegół, każdy nikomu niepotrzebny fakt... Tak na zaś. Mimo, że tego nie pokazuje, raczej tkwi w przeszłości. Rozpamiętuje cicho to, co było. Nawet, jeżeli pozwolił temu cicho gnić w ziemi. Obiecał nie próbować kurczowo z kawałków szkła na nowo zbudować dzbanek. Aby wypełnić go własną młodością, wspomnieniami. Niczym kot chodzi własnymi ścieżkami, podążając za krokami własnego serca. Tym, do czego tak bije. Boleśnie pulsuje, niosąc ze sobą gorycz przeszłości. Ma tendencje do wpadania w słowotok, udzielając ci odpowiedzi na najmniej istotne pytanie. Odpowie ci tak, aby do końca wyczerpać temat. Pozwolić, abyś na chwilę mógł złapać w dłonie to, co przeżył na własnej skórze. Kryształ pełen tego, co było. Tego, czego się dowiedział. Nawet, jeżeli już przygasa wiedząc, że wypełnił swoje powołanie. Nie musi już gromadzić więcej informacji, bo zna wszystko, co było potrzebne. Jest teraz jedynie schowkiem na kojącą gorycz. Ssące uczucie tęsknoty w żołądku, które i tak potrafi wywołać uśmiech. Jedną z ważniejszych wartości dla niego jest kultura i zdecydowanie stawia ją na pierwszym miejscu, nie pozwalając zaniedbywać dawnych obyczajów. Nigdy nie zapomni o najmniejszym zwyczaju, nawet tym zatartym przez czas. Wygrzebuje spod sterty gruzu wszelkie cząsteczki starych dziejów, kopiąc aż do momentu, gdy będą mu krwawić dłonie. I nie poszukuje wcale złota. Potrafi cieszyć się i najzwyklejszym kamieniem. Do szczęścia nie potrzeba mu wiele, bo uważa, że swoje szczęście już przeżył. I nie przyjdzie mu doznać go drugi raz. W szczególności, że i tak dźwiga już bagaż pełen doświadczeń i mało co go intryguje. Skromny, z tendencjami do gdybania o wszystkim i o niczym. Spokojny, trudno wyprowadzić go z równowagi. Kłody rzucane mu pod nogi przyjmuje ze stoickim opanowaniem i jeżeli ktoś usiłowałby go wywrócić, nie przejąłby się tym. Dalej robiłby swoje. Żył własnym rytmem. Po dawnym wybuchowym i negatywnym charakterze nie pozostał nawet szkielet szczątkowy, mający mu przypominać, z kogo wyrósł na tego, kim jest teraz. Tkwi ciągle we własnych dawnych przekonaniach i trudno otwiera się na nowe inicjatywy. Spędzając czas w jego towarzystwie można odnieść niedosłowne wrażenie, że wszystko zaczyna się pokrywać kurzem, a w powietrzu unosi się kojąca woń nostalgii... Bo jest nostalgiczny. Jednak jego powiew melancholii jest stosunkowo ciepły. Nie uderza swoim chłodem prosto w twarz, nie szczypie w nos, policzki. Prędzej przyprawia o gorące uczucie zadumy. Skryty, nie

zdradza o sobie dużo, a swoje uczucia trzyma zdecydowanie na wodzy, przez co otacza się aurą tajemniczości, jedynie potęgowaną przez jego zachowywanie elegancji. Pełen gracji, taktu. Rzadko kiedy się myli, waha, a jego poczynania są na ogół kalkulowane. Nie lubi łamania obietnic i nie stroni od kary, gdy ktoś to zrobi. Każde jego przyrzeczenie jest niczym wyryte w skale. Jeżeli coś ci obieca możesz mieć pewność, że z pewnością to zrobi. Kompetentny, łatwo zdobywa zaufanie innych. I słusznie, bo potrafi dochować tajemnicy i nie działa na szkodę ludzi. Nie widzi w tym żadnego pożytku. Jako przyjaciel jest prawdziwym skarbem.



HISTORIA

tw: gore i inne niepokojące treści (zaznaczone będą jaśniejszą czcionką!!)

☆ rozdział I: początek.

Zhongli urodził się w stosunkowo bogatej rodzinie. Jego ojciec był właścicielem bardzo dobrze działającej firmy, a matka sędzią. Śmiało można stwierdzić więc, że dzieciństwo miał usłane różami. No... Niekoniecznie. Mimo tego, że miał niemalże wszystkiego pod dostatkiem, wciąż wymagano od niego wiele. A to wszystko, aby pomimo przyzwyczajenia do miękkiego materacu i bogatego wystroju, nie stał się typowym pieszczoszkiem, całe życie śpiącym na laurach. Uczono go więc pracy, samodoskonalenia się. Obowiązków. Tego, że w zamian za wysiłek, dostaje się wynagrodzenie. Zawsze miał wyjątkowo napięty grafik. Jazda konna, nauka gry na skrzypcach, pianinie... Tylko, aby później miał jakieś talenty. A wracając do pracy. Mimo tego, że w domu były zatrudnione sprzątaczkі, musiał im pomagać. Przyzwyczać się do kurzu i ścierania podłogi na kolanach. Czym było spowodowane takie traktowanie syna? Bo

jego rodzice zaczynali od zera. Nie mieli nic, a i tak udało im się osiągnąć wiele. Podarować swojej pociesze to, czego nie mieli nigdy. I to właśnie dzięki ich przeszłości bardzo szanowali tradycje. Nie odłożyli ich w niepamięć w pogoni za sławą, pieniędzmi. To nie one stały się ich wyznacznikiem wartości. Były jedynie ułatwieniem, nie wszystkim. Bo zawsze najważniejsze były więzi rodzinne. To, aby dobrze żyło się w wspólnocie. Bo pieniądze przemina, ale relacje, wspomnienia bardzo trudno zatrzeć. Ich nie stracisz z pomocą błyskotek, zachcianek.

W wolnym czasie bardzo lubił czytać książki. Najbardziej te stare, przy których szukaniu musiał się wyjątkowo namęczyć. Często godzinami przeszukiwał bibliotekę, sięgając w najgłębsze zakamarki, aby tam znaleźć książki zupełnie zapomniane. Rzucone w kąt, czy też zgubione. Pokryte pajęczyną, poślizgnięte. Ale dopóki dało się z nich cokolwiek odczytać, miały własną wartość. Wyjątkowo do gustu przypadły mu książki historyczne. Uwielbiał czytać o dawnych nacjach, ich gospodarce, rozwoju, przywódcach. Z suchych faktów wyciągał wnioski – ubarwiał litery, poprawiał ich końcówki własnym piórem, oczywiście nie zmieniając przy tym ich wagi. Tego, co pierwotnie mówiły. Były jedynie napisane jego własną ręką, własnymi przemyśleniami. Zwykle wyciągał wyjątkowo nietrafne przemyślenia, bo był jeszcze dzieckiem. Odbiegał od tamtejszych czasów, w głowie szukając rozwiązań mu najbliższych i niekoniecznie mogących działać w przeszłości.

Edukację rozpoczął w wieku czterech lat. I był wyjątkowo zdolnym dzieckiem. Szybko nauczył się pisać i czytać, swoją dykcję i pamięć ćwicząc poprzez naukę wierszy, które później wygłaszał przy obiedzie. Rodzice ciągle powtarzali mu, że prawdziwym bogactwem nie są rzeczy materialne, a wiedza. Bez mądrości niczego nie potrafiłby osiągnąć.

Wcale nie zapowiadało się, aby jego spokojne życie nagle wywróciło się do góry nogami. Nawet, gdy jego matka raz siedząc z głową w dłoniach zawołała go do siebie. Spojrzał zdziwiony na kobietę, czując, jak w jego sercu gromadzi się niepokój. Nieprzyjemne ssanie, wyżerające go od środka.

– **Mamo?... Co się stało?** – zaczął, przełykając ślinę. Jego rodzicielka dalej siedziała w milczeniu, niczym posąg. Pomnik upamiętniający kogoś w głębokim bólu. Bo ta scena, której jego młody umysł nie pojmował, miała właśnie wryć się w jego pamięć jak rzeźba. Podszedł do niej powoli. Nogi miał jak z waty. Drżąca ręka delikatnie przejechała po jej ramieniu, a on spojrzał na jej zaczerwienione oczy. Blade ślady po łzach na policzkach błyszczały w słońcu, wpadającym do kuchni, zupełnie nie pasującym do tej sytuacji.

– **Mamo...** – dodał ciszej, zaciskając szczękające o siebie z nerwów zęby. Kobieta na jego głos jakby się ocknęła, kierując zmęczony wzrok ku synowi. Momentalnie kucnęła przy nim i uścisnęła go z całej siły, szczelnie zamykając w swoich objęciach.

– **Morax, kochanie...** – zaczęła, zaciskając dłonie na jego ubraniu. Trzymając go tak mocno, jakby miał zaraz uciec. Rozpłynąć się w powietrzu, niczym sen. Jej marne wyobrażenie. Kobieta próbowała uspokoić

swój drżący oddech. Zebrać w sobie aby przekazać synowi to, co musiała. A on jedynie stał tak w bezruchu, zupełnie osowiały. Oczekując na odpowiedź. Coś, co mogłoby rozwiać mgłę, powoli wypełniającą jego umysł. Zaslaniając mu wszelkie dobre opcje. Wsłuchiwał się w tykający zegar, jakby próbując się upewnić, że czas dalej przemijał. Że nagle nie zastygł i nigdy już nie doczeka się odpowiedzi.

– **Twój tata... Nie, nie od tego powinnam zacząć... Skarbie** – w tak abstrakcyjnej sytuacji, głos jego matki był tak samo delikatny jak zawsze. Może trochę... Słaby. Przygaszony. Odsunęła się od niego, aby położyć swoje dłonie na jego ramionach. Wbiła zmęczony wzrok w twarz chłopaka, z trudem powstrzymując łzy. Poczucie winy, że musi powiedzieć o czymś tak okropnym... Dziecku. Nie może zataić tego faktu. Czuła się, jakby odbierała mu właśnie dzieciństwo. *Dobre dzieciństwo*, o które tak dbali wraz z mężem. A mimo to nie była to jej wina. Nie mogła nic na to poradzić.

– **W-Wiesz czym jest wojna, Morax?** – dodała po chwili, oblizując prędko suche usta. Bolące, piekące. Wyschnięte. Czy wiedział czym jest wojna? Nie na własnej skórze, ale czytał o wojnach. Interesował się nimi. Uśmiechnął się delikatnie do swojej rodzicielki, niemalże z odrobiną dumy, że wie, o czym mówi. Jednak gdy tylko chciał otworzyć usta, mina jego rodzicielki od razu spoważniała. Nie ucieszyła się wiedzą własnego dziecka, patrzyła na niego wręcz z nerwami. Odrobiną pogardy za jego szczęście, nie pasujące do tego, co działo się teraz.

– **Nie, Morax. Nie uśmiechaj się, to nie powód do szczęścia** – powiedziała ostro, sprawnie niszcząc jego wszelkie próby rozpogodzenia sytuacji. Bursztynowe oczy otworzyły się szerzej, patrząc spod byka na kobietę, która pokręciła głową.

– **Przepraszam, promyczku... Nie wytłumaczyłam ci niczego i mam do ciebie pretensje, jestem tak złą matką...** – pokręciła głową, wtulając twarz w jego klatkę piersiową. Wzdrygnął się, momentalnie czując chęć sprzeciwu.

– **Mamo, kocham cię- proszę nie mów tak...** – sytuacja była fatalna. Przepełniała go niepokojem. Łzy napłynęły mu mimowolnie do oczu. Wszystko się komplikowało. Jego matka nie potrafiła mu przekazać żadnej informacji. Nic sensownego nie przechodziło jej przez gardło, mówiła szyframi. Tak, jakby próbowała oswoić dzikie zwierze. Oswoić go z tym, co zaraz padnie. Pociągnęła nosem, biorąc głębszy oddech. Zachłysnęła się powietrzem i zakaszła lekko. Odszedł na parę kroków, chcąc dać jej więcej swobody. I wtedy zaczęła mówić.

– **Dzisiaj zaczęła się wojna, synu. Twój ojciec... Wyruszył na front, aby bronić ojczyzny. Bronić naszego Liyue. Może... Nie wrócić. Może umrzeć, kochanie. Wszyscy możemy umrzeć. Na razie jest spokojnie, bo to dopiero początek, wojna nie dotarła jeszcze do głębi państwa. Lecz to tylko... Kwestia czasu, zanim poczujemy jej oddech na karku. Nie możemy uciekać, musimy przeżyć, tutaj** – może i używała zbyt trudnych sformułowań, ale nie miała zamiaru robić z wojny zwykłej zabawy w piaskownicy. Musiała porozmawiać z tym drobnym chłopcem, którego wojna za kołnierz wyrzuciła z kołyski, odebrała zabawki i wręczyła karabin w dłoń. I rozmawiała z nim jak z dorosłym. Nie widziała innego wyjścia. Nawet, jeżeli wpatrywał się

w nią zupełnie bez zrozumienia. Ujęła jego dłonie w swoich, ściskając je. Dlaczego nie mogli uciekać? Był jakiś szczególny powód? Rząd Liyue zakazał wyjazdów? Jasne, że nie. Kobieta po prostu nie chciała zostawiać swojego męża. Nawet, jeżeli tym samym miałyby ryzykować życiem ich syna. Nie przyjęła do siebie jego słów, które powiedział przed wyjazdem. Tego, aby uciekali. Była w zbyt wielkiej rozsypce, tęsknocie, aby myśleć logicznie. Jej serce zbyt bardzo bolało, wręcz umierało od myśli o wiecznej rozłące z ukochanym, do tego stopnia, że wolała zrobić głupotę. Narazić siebie, Moraxa. A to tylko dlatego, aby chociaż częścią siebie być tam, gdzie mąż. Nawet, jeżeli miałyby skończyć wykrwawiając się na chłodnej glebie - przynajmniej będzie wiedzieć, że robi to na tej samej ziemi, co jej ukochany.

Chłopak cicho powtórzył za kobietą, "Dzisiaj zaczęła się wojna". Reszty słów zupełnie nie zrozumiał. Wiedział, co one oznaczały, jednak... Nie potrafił ich przyswoić do wiadomości. Jego ojciec... Tata... Tata może umrzeć, broni Liyue. Broni kraju. Dlaczego broni kraju, a nie ich? Czemu zostawił jego i mamę? Dolna warga zaczęła mu drżeć i nie minęło wiele czasu, zanim się rozplakał.

– **Nie! Ja chcę tate tutaj! Nie na wojnie! Mamo, proszę- powiedz tacie, aby został... Ja nie chcę, aby odchodził... Niech tata wróci, proszę, mamo... Ja chcę do taty... Ja- nie chcę wojny** – ostatnie słowa dodał ciszej, rękawem ocierając swoje łzy. Jednak rozpacz nie mogła zmienić niczego. Wojna nie patrzyła na jego płacz. Śmierć spoglądając w oczy nie szukała wymówki, aby nie odebrać komuś życia. Pociski nie omijały ukradkiem ludzi, za którymi ktoś płakał. Śmiało można stwierdzić, że wojna - której z resztą... Nie rozumiał, bo był święcie przekonany, że wszelkie walki działały się już dawno i nie będą odbywać się w przyszłości - mniej go uderzyła, niż wizja utraty bliskiej mu osoby. Kobieta nie poruszyła się nawet na centymetr. Spojrzała na dziecko, zalewające się łzami i westchnęła ciężko, wymijając je. Wychodząc z pomieszczenia. Była zbyt zmęczona, aby kontynuować tą rozmowę. Nawet, jeżeli czuła się okropnie, właśnie go opuszczając. Chłopak potrzebował czasu. I ona również.

☆rozdział II:osial.

Stosunkowo szybko przyzwyczaiał się do nowych realiów. Tego, że po powrocie do domu ze szkoły witała go matka, nakładająca mu jedzenie na talerz. Nie było jazdy konnej, nauki gry na skrzypcach. Nie było nic. Mógł się zajmować w końcu sobą i szkołą. O ojcu ślad zaginął. Zupełnie, jakby zapadł się pod ziemię. Wojna go pochłonęła, wymazując jego osobę. Nie dając mu nawet tytułu bohatera, w zamian za jego skórę. Mięso. Życie. Tak właściwie nie odczuwał wojny. Wszystko było tak jak dawniej, oprócz

tęgo, że na przerwach w sali nauczyciele podgłaśniali radio, słuchając informacji o ruchu wrogich wojsk. Tęgo, czy nadal się bronia. Coraz większa część Liyue była owładnięta walką. Wrogie nacje próbowały podzielić jego tereny niczym ciasto, a przynajmniej tak mówili, tając ruchy wojsk państwa. Tęgo, że samo nie tylko się broniło, ale także podbijało nowe tereny. Agresją odpowiadali na agresję. Prezentowali własną siłę, rządze. Zemstę.

Było normalnie, cicho, spokojnie. Gdy wrócił do domu jego mamy nie było, jednak dom był otwarty. Uznał, że wyszła gdzieś na chwilę. Skierował się do kuchni i usiadł przy stole, wyciągając z gazetnika gazetę, mając zamiar ją przeczytać. Poczekał z obiadem, który już był na stole. Lecz nie musiał tego długo robić, gdyż nagle usłyszał, jak ktoś zdejmuję kurtkę i... Rozmawia. Z drugą osobą. Wsłuchał się w głosy i uniósł zdziwiony wzrok znad papieru, przez chwilę w zdumieniu wpatrując się w wejście do kuchni. Tata wrócił? Uśmiechnął się sam do siebie, by zaraz zerwać się z krzesła i pójść w stronę ganku. I jego zdziwienie wcale nie zmalowało, gdy zobaczył *kto* na niego tam czekał. Jego wzrok skrzyżował się z starszym od niego chłopcem, który zdejmował swoje ubłocone buty. Kim... Kim on był?

– **Mamo... Kto to?** – żadnego cześć, dzień dobry. Chciał najpierw się dowiedzieć, kim był nieznajomy, który zresztą był... W fatalnym stanie. Wychudzony, ubrudzony, worki pod oczami... Nie czuł się przy nim ani trochę komfortowo. Nie był przyzwyczajony do takich widoków. Chłopak skrzywił się, gdy tylko zorientował się, w jaki sposób Morax się na niego patrzy.

– **Co, coś ci nie pasuje?** – parsknął z kpina, tym samym wchodząc w zdanie jego matce, która już miała zacząć się tłumaczyć. Ta w ciszy jedynie skarciła ich wzrokiem, groźnie krzyżując ręce na piersi, tym samym ostro informując, że nie pozwoli na kontynuację tej rozmowy.

– **Morax, to jest Osial. Będzie z nami mieszkał** – wyjaśniła krótko, odbierając poszarpaną kurtkę od Osiala, wieszając ją na wieszaku.

– **Nie ma domu? Przecież... Każdy ma dom? Dlaczego on nie może mieszkać u siebie?** – od razu rzucił kolejne pytanie, nie rozumiejąc tej sytuacji. Kobieta spojrzała na niego, mrużąc oczy. Cisza z jej strony świadczyła tylko o jednym – "Porozmawiamy o tym później". Osial za to parsknął pod nosem, podirytowany dosyć wymownie spoglądając na jego matkę.

– **Oprowadź go po domu, przy okazji nieco bliżej się poznacie** – podeszła do swojego syna, delikatnie klepiąc go do pleców i idąc na górę, pozostawiając dwójkę w niezręcznej ciszy. Sam na sam. Morax nie mógł zabrać głosu, czując dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Za każdym razem jak patrzył na zaniedbanego chłopca... Był obrzydzony. Dlaczego brzydził się nieznajomego? Może to przez ostry zapach ziemi, potu i... Krwi, który wraz z sobą wniósł do pomieszczenia.

– **Będziemy tak stać, czy pokażesz mi ten wasz dom?** – z rozmyślań wyrwał go Osial, który przybliżył się do niego, zmuszając bruneta do zrobienia parę kroków w tył.

– **Tak, tak- już idziemy. Najpierw pokażę ci... Kuchnię** – delikatnie wyciągnął przed siebie ręce, jakby próbując go odepchnąć. Zaciśnął oczy, odwracając się na pięcie i pospiesznie kierując w stronę kuchni. Osial wsadził dłonie do kieszeni, podążając za nim.

– **Akurat jestem głodny...** – burknął nieznajomy, lekko się garbiąc. Morax odruchowo się wyprostował, poprawiając swoje ubranie. Osiał zajrzał przez jego ramię do środka pomieszczenia, od razu przysiadając się do nietkniętego obiadu chłopaka i... Zabierając się za jedzenie. Morax spojrzał na niego zdumiony. Bez żadnego pytania zaczął jeść. A jadł... Wyjątkowo łapczywie. Nie patrząc na to, że jego dłonie są brudne, cały jest brudny... Niczym wygłodniałe zwierze. Bez słowa usiadł przed nim, czując się zbyt głupio, aby zwrócić mu uwagę.

– **Smacznego** – kiwnął lekko głową. Jedzenia było pod dostatkiem, on najwyżej zje później.

– **Czyli...** – zrobił krótką przerwę, aby przełknąć – **Nazywasz się Morax i jesteś synem pani Cuifen?**

A kim innym miał być? Milczał, bawiąc się rękawem swojej koszuli.

– **Skąd jesteś?** – nie odpowiedział na pytanie Osiała, uznając odpowiedź za niemalże oczywistą. Dlatego postanowił zadać pytanie. Chłopak przerwał na chwilę jedzenie, wbijając w niego wzrok.

– **Znikąd. Nie mam domu. Bo dom, to miejsce w którym czujesz się bezpiecznie, tak? Nie mam już takiego miejsca** – odpowiedział, stukając niechcący widelcem o talerz. Morax oparł dłoń o swój policzek. Nie było żadnego sensu w tej rozmowie. Każdy miał dom, jakieś... Miejsce zamieszkania. Z jakiej miejscowości pochodził? Dlaczego nie chciał odpowiedzieć? Drażliwy temat? Najprawdopodobniej, dlatego nie miał zamiaru dalej go ciągnąć, zadając inne, podobne pytania. Przełknął własną ciekawość.

Poczekał, aż chłopak skończy jeść i oprowadzał go dalej. Ukradkiem zerkał, jak Osiał w zdumieniu oglądał... Wszystko. Każdy najmniejszy skrawek. Zupełnie, jakby był w jakimś muzeum. Jednak nie było im dane w pełni skończyć oprowadzania, bo nagle zawołała ich jego mama. Głos dobiegał z jej pokoju. Udał się w jego stronę, oglądając ciągle za siebie aby zobaczyć, czy Osiał idzie za nim. Przed wejściem rzucił cicho pod nosem *"To pokój mamy"* i otworzył drzwi, przepuszczając go w nich.

– **Ach, dobrze, że jesteście. Osiał, jak ci się podoba dom?** – uśmiechnęła się do niego kojąco, przez co poczuł drobne uczucie zazdrości. Jakby właśnie ktoś próbował zagarnąć jego miejsce w sercu matki. Tej samej, która zostawiła go na pastwę losu, po opowiedzeniu o tym, co się dzieje na świecie. Która nie miała odwagi się tak do niego uśmiechnąć. Odwrócił głowę, nie oglądając tego, jak chłopak do niej podchodzi. Kobieta akurat składała jakieś ubrania. Najchętniej by stąd wyszedł. Jeden mały uśmiech potrafił wszystko zepsuć. Puścił mimo uszu odpowiedź chłopaka, nawet, jeżeli była pełna szczęścia. Nie krył zadowolenia, zafascynowania pięknym wystrojem. I tym samym sprawił, że kobieta się zaśmiała. Tak delikatnie. Zupełnie jakby nie zauważała, że wbija szpilki w serce własnego syna.

– **To... Ubrania mojego męża, jak jeszcze był w twoim wieku. Myślę, że powinny być dla ciebie w sam raz. Dalej, przymierz je! Nie wstydź się** – ubrania... Taty. Ubrania taty... To była zdecydowanie przesada. Ten... Brudas z ulicy miał zakładać ubrania jego ojca? Tego samego, który... Tata... Czy tata żył? Czy tata pozwoliłby na takie coś? Prychnął, zostawiając ich samych. Szybkim krokiem poszedł do swojego pokoju, zamykając się w nim. Rozejrzał

się i od razu wbił wzrok w tapczan, który wniosła jego matka. Czyli Osial będzie spał w jego pokoju. Dobrze, że przynajmniej go jeszcze z niego nie wyrzuciła, aby zrobić miejsce dla dziecka, które zgarnęła z ulicy. Był jej synem! A czuł się obecnie jak... Przeszkoda. Trzecie koło.

"Dlaczego poszedł?" a dlaczego cię to obchodzi? Zacisnął zęby i zatrzasnął drzwi, gdy usłyszał rozmowę z pokoju matki. Parę słów. Wyciągnął swój odtwarzacz mp3 i gwałtownie wcisnął słuchawki do uszu, odpalając muzykę klasyczną. Sięgnął po książkę o starożytnych cywilizacjach, zatapiając się w lekturze. Odcinając od własnych nerwów.

Jasne, że jego zachowanie nie mogło być pozostawione bez komentarza. Sprawa o której miał rozmawiać z matką później... Zdecydowanie nie będzie jedyną rzeczą, którą poruszą. Cicho wszedł do środka jej pokoju - Osial akurat się kąpał, więc nie musiał się go obawiać. Zamknął cicho drzwi, wbijając wzrok w swoją matkę, która wypełniała papiery przy biurku.

— **Siadaj, Morax** — Morax. Zdecydowanie teraz wolałby usłyszeć synu. Usiadł na łóżku, układając swoje dłonie w piramidkę i czekał na... Skarcenie? Cokolwiek? Nie wiedział czego się spodziewać.

— **Osial stracił rodziców w wojnie. Uciekł... Skądś na pewno** — poprawiła okulary, spoczywające na jej nosie, odrywając wzrok od papierów i patrząc przed siebie.

— **Wiesz, jaka to musi być trauma? Jest wycieńczony, wygłodzony. Postaw się w jego sytuacji. Z pewnością nie czujesz się dobrze w jego towarzystwie, ale takie właśnie mamy czasy. Musimy sobie pomagać, jeżeli chcemy przeżyć. I nie powinniśmy rozgrzebywać czyjejś przeszłości, wizerunku. Jeżeli jest w potrzebie to tylko to się liczy. Zapamiętaj to Morax, nigdy nie oceniaj książki po okładce. Czy fakt, że coś ma uszkodzoną oprawę od razu oznacza, że w środku też jest zepsute?... Spodziewałam się po tobie więcej, synu. Ale mam nadzieję, że zrozumiesz to, co do ciebie mówię. Skończyłam** — rytmicznie klikała długopisem, próbując tym samym rozładować własne napięcie. Po skończeniu swojej wypowiedzi, zaprzestała. Czekala, aż Zhongli opuści pomieszczenie. Nie musiała długo tego robić, bo chłopak jedynie spuścił głowę i wyszedł bez słowa. Zająknięcia się. Było mu wyjątkowo głupio. Skierował się w stronę swojego pokoju, lecz zawahał się przed naciśnięciem klamki, słysząc... Płacz? Cichy szloch. Osial? To zdecydowanie spotęgowało jego poczucie winy tym wszystkim. Wszedł ostrożnie do środka, zamykając za sobą drzwi i stanął nad łóżkiem chłopaka. Ten odwrócił się w jego stronę, wbijając w jego twarz załzawione oczy.

— **Przepraszam, Osial...** — wymruczał cicho, wyciągając w jego stronę dłoń. Bez żadnego obrzydzenia, strachu. Chłopak złapał go za nią, oglądając ją przez chwilę. Drżący oddech Osiala nieco się unormował, a on sam przytulił Moraxa, tym samym wciągając go na swoją wersalkę. Trwali tak w ciszy. Dwójka zupełnie obcych chłopców, których pojednała wojna. Jej chłodne zasady. Uformowała więzy silniejsze, niż przyjaźń. Sznur przeplatany zaufaniem. Z pewnością nie zaciśnie się nikomu na szyi, wręcz przeciwnie - prędzej pociągnie jednego z nich w górę, gdy ten będzie upadać.

Tej nocy zasnął wtulony w Osiala. Czując ciepło dzięki osobie, której posadzał o jego odebranie. Niepokój zniknął zupełnie się roztopiając. Nie była im potrzebna żadna rozmowa, długie opowiadanie o tym, co się stało. Co przypominało się chłopakowi. Wystarczyła obecność drugiej osoby, zrozumienie bez słów.

Morax bardzo szybko przyzwyczaił się do obecności nowego domownika i zdobył tym samym dobrego przyjaciela. Kogoś, z kim mógł czytać książki, komu mógł opowiadać o tym, co wie, o swoich domysłach... I kogoś, kto stał się jego nowym autorytetem, po utracie ojca. Osial był wyjątkowo kłopotliwym dzieckiem, radzącym sobie ze swoimi problemami poprzez przemoc. Wyładowywanie emocji. A Morax często brał udział w jego łobuzerskich wybrykach, aby spędzać z nim czas. Przez co przejął wiele jego negatywnych cech. Ale przynajmniej bawił się dobrze. I momentami zapominał, o otaczającej go krwi. Tego, co działo się w stolicy, państwie. Bo miał przy sobie Osiala

rozdział III:smak wojny.

Wojna zabija umysł powoli. Atakuje znienacka. Gdy wydaje się być spokojnie, nagle słyszysz strzały. Czujesz lufę pistoletu przy swojej skroni. I do skrócenia twojego życia nie potrzeba żadnego rozkazu. Wystarczy drżenie mięśni, okazanie strachu. Wszystko, co może zostać uznane za słabe. Nie warte utrzymania cię z bijącym sercem w piersi. Był weekend. Wraz z Osialem grał w pokera, oczywiście nie na pieniądze. Nic nie zapowiadało tego, co stanie się później. Że będzie to ich ostatni dzień spokoju. Przebywania bezpiecznie na uboczu, z dala od strzałów, śmierci.

Zastygł w bezruchu, gdy usłyszał z dołu domu krzyki. Niezrozumiałe słowa, padające z niebywałą agresją. I przerażony głos jego matki. Zacisnął w dłoniach ful, który miał być jego wygraną. Obecnie był zupełnie bez wartości.

— ... **Co tam się dzieje?** — szepnął do niego cicho przyjaciel, na co ten jedynie go uciszył, przykładając palec do ust. Wsłuchiwał się w dźwięki i ze zgrozą stwierdził, że... *Osoby, które obecnie znajdowały się w jego domu, porozumiewają się w zupełnie innym języku. Ale Osial zrozumiał szybciej co się dzieje, cały aż blednąc.*

— **M-Musimy- uciekać. Jak najszybciej- Teraz.** — rzucił zestresowany, wstając z podłogi i zaczynając się krzątać po pokoju. Morax również się podniósł, czując, jak jego oddech z każdym głośniejszym dźwiękiem przyspiesza. Osial chwycił kołdrę, wiążąc ją z prześcieradłem i wyrzucił przez okno, tak, aby stworzyć prowizoryczną linę. Jej wewnętrzną część przytrzymał szafką.

— **Schodzimy** — wydał krótką komendę, nie dając Moraxowi nawet czasu na reakcję. Szybko zsunął się po prześcieradle na sam dół, spoglądając na okno, z którego wychylał się chłopak.

— **Dawaj, dawaj!** — pospieszył go ruchem dłoni, widząc, jak ten się waha. Chciał wywołać na nim presję, aby przyjaciel czasem nie postanowił o odwrocie. Nie stchórzył. Morax zamknął oczy i wyskoczył, trzymając się liny. I zrobił to w idealnym momencie, bo zaraz po tym mógł usłyszeć strzał. Momentalnie wszystkie jego kończyny ścierpły, a on sam zamarł. Ale nie było na to czasu. Nie, gdy niebezpieczeństwo było tak blisko. Mruczając parę niezrozumiałych słów pod nosem, Osial chwycił go za rękę i zaczęli biec. Przed siebie. Bez celu. Uciekali przed śmiercią. Śmiercią bez powodu. Bo niczym nie zawinili, byli dziećmi. Nierozwiniętymi jeszcze na tle społecznym do tego stopnia, aby móc je osadzać. Wytykać im dobre i złe czyny i zamiast pouczenia od razu wytaczać kary. A w ich przypadku jedynym pouczeniem, jakie mogła im dać wojna był bezbolesny zgon. Parę razy o mały włos się nie przewrócił podczas ucieczki, czując się zupełnie... Nieobecny. Przerażony. Jedyne, co utwierdzało go w tym, że wciąż tu jest, była dłoń przyjaciela zaciśnięta na jego. W tym momencie wydawała się wyjątkowo chłodna. Pozbawiona ciepła, niczym trupa. Biegli długo, za długo. Czuł, jak buty obtarły mu całe pięty. Krew przykleiła skarpetki do jego skóry. Lecz mimo bólu, nieprzyjemnego uczucia biegł dalej. Nawet, jeżeli robił to coraz wolniej i Osial w pewnym momencie po prostu go ciągnął.

Dotarli do lasu, stając pomiędzy koronami drzew. Próbował złapać oddech. Usiadł na mokrej ziemi, aby pozwolić pulsującym mięśniom odpocząć. Osial za to zupełnie bez celu patrzył w niebo. Jeszcze jasne. Stracili dach nad głową, schronienie. Wtedy, gdy już wydawało im się, że nic takiego się nie wydarzy. Są bezpieczni, bo wojna ich ominęła. Nigdy nie doświadczą rozłaki, ciągłej ucieczki. Tak, aby kat ich nie wytropił. Złapał za kark i odciął głowę, niczym zwierzęciu na ubój. Jednak nie robił tego dla pożywienia, dla innych. Robił to dla chorej satysfakcji. Aby zobaczyć strach w oczach niewinnych ofiar, odbijający się w brzytwie, która zaraz zatopi się w ich szyi. Rzeźnik niewinnych stworzeń.

— **C-Co teraz będzie, Osial?** — powiedział zadyszany do przyjaciela, w końcu zabierając głos. Panika skutecznie blokowała mu możliwość logicznego myślenia, rozpamiętywanie o tym, co się stało. O strzale, krzyku. Teraz była jedynie mokra gleba, mech i liście.

— **Wojna** — odpowiedział pokrótce Osial, krzyżując ręce na piersi. — **Musimy się ukrywać, uciekać, bo będzie deptać nam po piętach... Wiedziałem, że tak to się skończy...**

Westchnął, wbijając wzrok w czubki swoich butów. Morze, które przemierzał jego statek na nowo się wzburzyło. Wyrwało maszt, zmuszając go do bezsilnego dryfowania. Polegania na nurcie. Niczym liść znowu miał być porywany przez wiatr i wrzucany w wszelkiego rodzaju kałuże, brud. Jednak teraz dźwigał na sobie galas, który nieco przytrzymywał go przy ziemi. Rozwijał się na nim. A on nie miał zamiaru go niszczyć. Nie widział go jak szkodnika, robactwo. Był przyjacielem. Pozytywnie dodawał mu wagi i utrudniał wiatrowi rzucanie nim po wszystkich kątach. Kiwnął głową, tym

samym dając mu znak, że mimo milczenia wszystko zrozumiał i może mówić dalej.

– **Musimy zrobić obozowisko... Jeżeli chcemy przeżyć. Masz szczęście, że masz przy sobie eksperta mieszkania w lesie** – uśmiechnął się pokrzepiająco do przyjaciela, roztrzepując mu włosy.

Ekspert... Ach tak. Faktycznie. Czyli Osialowi już przyszło mieszkać... Na łonie natury. Jasne, przecież gdzie miał się podziać przed przyjściem do ich domu?

– **Co z jedzeniem? Jak... Gdzie będziemy spać? Noce są zimne, a nie mamy ze sobą... Nic, żadnych kocy...** – nieco posmutniał na twarzy, zadając pytania. Absolutnie *nie widział* ich wspólnego życia w tym... Chłodzie, liściach. Wyziębiom się i... Zamiast mieć życie odebrane przez wojnę, wykończy ich choroba.

– **Tsk, tsk. Nie urodziłem się wczoraj. Las to moje drugie ja i życie w nim wcale nie jest mi straszne! I tobie też nie powinno być** – najwidoczniej zmartwienia Moraxa nie udzielały się Osialowi, bo brzmiał wyjątkowo żywo. W swoim żywiole. Odchrząknął, przygotowując się do ponownego zabrania głosu.

– **Nie zaprowadziłbym nas przecież do miejsca, o którym nie mam zielonego pojęcia! Słuchaj, musimy podzielić się obowiązkami. Ja pozbieram patyki na opał, a ty... Hm, w pobliżu jest gospoda. Mógłbyś tam no wiesz, upolować kurę. Właściciel raczej nie będzie miał ci tego za złe, bo i tak ma tych swoich kureczek od pierona i ciut ciut. Więc jak mu ubędzie jednej, to jego interes jakoś nie schudnie** – przedstawił prosto swój plan, czekając na reakcję.

– **Jak to... Upolować kurę? Mamy jakąś... Broń? Pistolet? Czym mam to zrobić? Nigdy nie... Nie zabiłem żadnego zwierzęcia, nie wiem jak do tego się zabrać...** – uciekł od niego wzrokiem, jednak Osial postawił go do pionu, poprzez gwałtowne złapanie go za ramiona. "Patrz się na mnie i nie dramatyzuj".

– **A po co ci broń? Gołymi rękoma też możesz ją zabić. Tylko namęczysz się przy gonieniu, ale w bieganiu masz wprawę. Tyle razy już uciekaliśmy przed panią Lim, że złapanie takiej kury będzie dla ciebie błahostką** – Morax zaśmiał się pod nosem, słysząc jego nawiązanie do uciekania przed nauczycielką, gdy coś zbroili. Spojrzał na niego zdecydowanie pewniejszy siebie, posyłając mu uśmiech.

– **W takim razie dzisiaj na obiad będzie kura z ogniska. Trzymaj kciuki, oby mnie czasem nie zadziobała na śmierć** – pod koniec dodał teatralne "brr", aby zobrazować swoje przerażenie wizją śmierci z... Pazurów kury. Rozdzielili się, uprzednio ustalając ich miejsce spotkania. Morax w połowie drogi ściągnął buty, aby jego obolałe nogi mogły nieco odsapnąć. Gospoda była stosunkowo blisko. Wyglądało na to, że nikogo nie ma... Oprócz kur i kaczek. Bingo. Położył buty na ziemi, wzrokiem szukając najdorodniejszego okazu. I znalazł. Czarna kura wydawała się wyjątkowo pulchna. A im pulchniejsza, tym słabiej będzie uciekać. I będzie miała więcej mięsa. Wziął parę głębszych oddechów i przeskoczył płot, o mały włos się nie wywracając. Teraz czas na pogoń. Lekko zgiał nogi w kolanach, aby mieć lepszy start i zaczął biec. Jednak to był zdecydowanie zły ruch, bo momentalnie się poślizgnął i zarył twarzą prosto w błoto.

Wściekły przeklął parę razy pod nosem, podnosząc się i otrzepując swoje ubranie. Jego biała koszula mogła się teraz szczyścić brązową plamą na samym środku. Mama by go zabiła. Ale... Mamy już nie było. Był tylko on. I jego sumienie, które mogło go karcić. Teraz ubrania nie były ważne. Najważniejsze było przeżyć. Dla mamy. Dla taty. Gdy kura pochyliła łeb, aby poszukać jakiś ziaren w ziemi, ponownie ruszył. Rzucił się na nią, przygniatając ją swoim ciężarem, aby uniemożliwić jej ucieczkę. Szarpała się, gdakała, a on mimo to jej nie puścił. Przyszła pora na zabicie jej. Skrócenie tej szarpaniny, w ramach jakiejś śmiesznej litości. Z całej siły złapał ją za szyję. Zacisnął na niej swoje palce, wsłuchując się w zachrypiały głos zwierzęta. Podniósł ją do góry, aby uderzyć nią o ziemię. I tak jeszcze parę razy, z nerwami. Poirytowaniem, że jeszcze nie zdechła. W końcu usłyszał chrupnięcie, a kura przestała się szamotać. Jej ociężała głowa delikatnie oparła, zupełnie tak, jakby straciła swoje podparcie. Bo właśnie tak było. Kark nie wytrzymał mocnego spotkania z glebą i się złamał, tym samym szybko odbierając życie kurze. Jej ciemne oczy wciąż były szeroko otwarte, ale zasłzy mgłą. Dziób był odrobinę uchylony. Zwłoki zesztynniały, a na podwórku nastąpiła wyjątkowa cisza. Rozejrzał się dookoła, wciąż ściskając w dłoniach martwe zwierze i podniósł się z ziemi. Dłonie się mu trzęsły, a oddech przyspieszył. Zabił stworzenie. Czuł, jak w jego śmiercionośnych objęciach jej ciało przestaje walczyć, poddaje się. Puścił ją, aby spojrzeć na swoje ręce. Brudne od błota, z przyklejonymi do nich czarnymi piórami. Zrobił to. Jego pierwsze morderstwo. Nawet, jeżeli było to morderstwo kury. Zabił. Czy był teraz na prostej drodze, do zabicia kogoś? Przełknął ślinę, dramatyzował. Złapał ponownie truchło i skierował się w stronę bramy. Żwawo ją przeskoczył i zabrał swoje buty. Ruszył w stronę miejsca jego spotkania z Osialem.

– **Mówiłem ci, abys zabił kurę, a nie bawił się z nią w zapasy w błocie!**
– dodał żartobliwie chłopak, na widok swojego przyjaciela. Na ziemi widniał już stos patyków, gotowy do odpalenia. Po jego obydwóch stronach znajdowały się dwie grubsze gałęzie w kształcie litery "Y". Trzymały one patyk, który obwiązany był starym, cienkim sznurkiem.

– **Wypadek przy pracy. Miej trochę litości dla swojego kolegi...** – przewrócił oczami.

– **Jest już odrobinę za późno, aby się umyć, więc... Musisz się przemęczyć z tym brudem. Dzień wolnego od higieny** – skrzywił się z obrzydzeniem na jego słowa. Ewidentnie było widać, z jakiego domu się wywodzi. Ale mówił prawdę, nie warto kąpać się przed spaniem w mroźnym lesie.

– **Ciekawe, ile razy sam do siebie tak mówiłeś... Flejo** – położył dłonie na swoich biodrach z wyrzutem, na co Osiał urażony lekko otworzył usta.

– **Osz ty... Zaraz to odszczekasz!** – powiedział groźnie, z zawadiackim uśmiechem podchodząc do niego i wyciągając ręce przed siebie, by popchnąć go na ziemię. Morax od razu się zaśmiał, łapiąc go za ubranie, aby pociągnąć go wraz ze sobą. I tak zaczęła się ich przepychanka, aż do momentu, gdy Osiał przez przypadek zgniótł swoim ciałem kurę. Wstał, oglądając swoje ubranie brudne od błota, z wyjątkowo komiczną czerwoną

plamą na plecach.

– **No, mam nadzieję, że lubisz zgniecioną kurę** – próbował powstrzymać śmiech, z powodu nieco zrozpaczonej miny Moraxa, którego cały trud ze złapaniem zwierzęcia poszedł na marne. Bo obecnie było... Spłaszczone, połamane. Westchnął, naciskając nasadę nosa.

– **Mięso to mięso, nie będę wybrzydzać. Kto wie, może za parę lat taka zgnieciona kura będzie jakimś wykwintnym daniem...** – powiedział nieco rozczarowany.

Morax zajął się oskubywaniem kury z piór, a Osial próbował swoich sił w rozpaleniu ogniska za pomocą dwóch patyków. Na całe szczęście udało mu się i mimo tego, że ogień nie był zbyt okazały, czuł się wyjątkowo dumy z siebie. Przynajmniej nie musiał wykonywać tak brudnej roboty jak jego przyjaciel, który okazjonalnie zastanawiał się, czy właśnie wyciągnął z ich jedzenia pióro, czy złamaną kość, która przebiła się przez skórę. Gdy już skończył, przywiązał kurę do patyka. Dla umilenia czasu postanowili opowiadać sobie nawzajem różne opowieści. Większość z nich była wymyślona na poczekaniu, ale chociaż była. I nie musieli sobie zaprzętać głowy smutnymi realiami. Gdy kura się już upiekła, zjedli ją, zostawiając oczywiście organy. Bo one akurat do jedzenia się nie nadawały. Resztki zostawili z dala od ich obozu, aby czasem nie sprowadzić do siebie nieproszonych gości. Ustalili między sobą, że Osial wstanie gdy tylko wszędzie słońce, aby zgasić ognisko. Przez noc mogło się palić, bo dym nie będzie aż tak widoczny. Spali tak w ciszy przy ognisku, w brudnych ubraniach i zapachem krwi zmieszanej z potem. Jednak nie przeszkadzało im to. Jutro będzie nowy dzień i zmyją z siebie ten zapach. Dzisiaj już nie było na to czasu.

Byłoby bardzo dobrze, gdyby mogli sobie tak spokojnie pospać. Odpocząć, zostawić za sobą wspomnienia z dzisiejszego dnia... Ale jasne, że to byłoby zbyt kolorowe. Zbyt dziwne w tym szarym świecie. Musiało być coś nie tak. Morax obudził się, czując ciężar na żołądku. Nudności. Wstał, chwiejnym krokiem kierując się w stronę pobliskich krzaków. Nie minęło długo, zanim po prostu zwymiotował. Oparł dolną część swoich dłoni o brudną ziemię i uklęknął na niej, czując, jak zaciska się jego żołądek. Kaszlał, pozwalając wszystkiemu z niego wylecieć. Było mu słabo, bardzo słabo. Czuł, jakby miał zaraz zemdleć. Całą twarz miał rozpaloną, a mięśnie zwiótcały. Czyżby tak właśnie wyglądała jego kara za morderstwo? Zabicie bezbronnego zwierzęcia? Był mordercą. Co by pomyślała jego matka, widząc własnego syna tarzającego się w błocie, aby zabić. Nie patrzącego na brud, krew. Paniczne krzyki agonii. Zupełnie owładniętego własnym instynktem. Złością, że tyle mu to zajmuje. Żadnej skruchy, obrzydzenia tym, że zabija. Poraz kolejny zwymiotował, ale tym razem nie było to spowodowane tylko nudnościami. Był sobą tak okropnie zawiedziony. Otarł kącik ust z wymiocin, wracając do swojego przyjaciela, aby ocieźiale położyć się zaraz przy nim i wycieńczony zasnąć wyjątkowo szybko.



rozdział IV:nowy dom.

Osiala obudził kwaśny zapach wymiocin, drażniący go w nozdrza. Pospieszenie wstał i zgasił ognisko, próbując powstrzymać zaciskające się gardło, aby czasem również nie zwymiotować. Lekko szturchnął Moraxa, który jeszcze smacznie spał. Gdy ten się obudził, szybko wyjaśnił mu, że muszą stąd iść. Nie podał powodu, ale chłopak nawet tego nie kwestionował. Był zbyt osłabiony, aby o tym myśleć. Z jego pomocą podniósł się z ziemi i ruszył wraz z chłopakiem w bliżej nieokreślone miejsce, zakładając swoją rękę na jego szyję, aby zrobić sobie z niego podporę. Był odwodniony, głodny, zmęczony... Wszystko po kolei. Czuł się zupełnie fatalnie. Ale nie chciał umrzeć. Nie teraz. Dlatego słuchał Osiala jak pacierza, nie kwestionując nic, co padło z ust starszego. Nie, żeby miał na to ochotę. Oczy same mu się zamykały. Powieki stały się wyjątkowo ciężkie, a oczy piekły. Był niczym lalka trzymana w dłoni – bez własnej woli, bez energii. Nie mógł dłużej iść. Był absolutnie nietomny. W połowie drogi po prostu zemdlął, cały swój ciężar opierając na Osialu, który nie krył przerażenia. Zaczął do niego mówić, szarpać go, tylko, aby ten nie zamknął oczu na dobre. Ale to na nic. Odpłynął.

Obudził się w jakimś namiocie, z mokrą ścierką na czole i jakąś dziewczyną przy nim. Miał na sobie jedynie ręcznik, otaczający jego biodra. Na kupce były poukładane jego ubrania, brudne od błota i wymiocin. Lekko przekręcił głowę w stronę nieznałomej, wbijając w nią podkrążone oczy.

– **G-Gdzie jest... Osial?** – zapytał zachrypniętym głosem, na co ta odrobinę się wzdrygnęła, momentalnie zabierając okład z jego głowy i przykładając dłoń do jego czoła.

– **O mój... Naprawdę, nie powinieneś się teraz przejmować Osialem, zaraz go zawołam. Jak się czujesz, wszystko dobrze?** – powiedziała delikatnie akcentując każdą literkę. Zabrała dłoń, lekko ją otrzepując – **Gorączki brak, osłabiony... Co się stało?**

Zalała go falą pytań, wprawiając go w drobne zakłopotanie.

– **Dobrze... Dobrze się czuję** – na drugie pytanie już jej nie odpowiedział, wzrok kierując w stronę sufitu.

– **Utrudniony kontakt, nie odpowiada na pytania... Ach tak- jestem Havria. Twój przyjaciel cię do nas przyniósł. Tak bardzo wszyscy się o ciebie martwiliśmy... Ale skoro już lepiej się czujesz, to dobrze** – pogładziła go zewnętrzną stroną dłoni po policzku, w geście troski. Przełknął ślinę, czując ciepło na sercu. Martwili się o niego... Martwili? Czy... On i Osial trafili na dobrych ludzi? Kogoś, kto nie miał w planach ich po prostu zabić? Pokazać, jak działa okrutna wojna? Nieco rozbudzony podniósł się do siadu, posyłając jej delikatny uśmiech.

– **Morax. Kim jesteście?** – uniósł jedną brew do góry, na co Havira jedynie cicho się zaśmiała.

– **Jesteśmy jedną wielką rodziną. A tak szczerze... Nawet nie wiem, jak**

można nas nazwać... Hmm... Jesteśmy zgrupowaniem osób takich jak wy, którzy musieli uciekać. Trzymamy się razem, dbamy o siebie... Tak właściwie o każdego, kto się do nas przybłąka. Jesteśmy jak takie... Schronisko, o – zobrazowała mu po krótkce ich organizację – **Właśnie, miałam zawołać Osiala-wybaczyć, trochę mnie zagadałeś...**

Już miała wstać, aby pójść po jego przyjaciela, gdy ten nagle wparował do środka.

– **Morax!** – krzyknął na powitanie, niemalże ślizgając się na kolanach w stronę chłopaka. Wszystko robił w pośpiechu. Złapał go za dłonie, patrząc mu prosto w oczy.

– **Jesteś takim... Ugh. Weź może następnym razem mi nie mdlej w połowie drogi... I nie rzygaj po krzakach, bo nie chcę się znowu budzić otoczony zapachem wymiocin** – skrzywił się i mocniej zacisnął jego ręce. Po chwili jednak westchnął – ... **Cieszę się, że nic ci nie jest.**

Złagodził odrobinę, zerkając ukradkiem na Havrię, posyłając jej kiwnięcie głową w geście podziękii. Ta jedynie odpowiedziała mu ciepłym uśmiechem, przymykając oczy.

– **Jakbym nie miał przy sobie takiej osoby jak ty, to mogłoby mi coś być. Dziękuję, Osial... I dziękuję tobie, Havria... I twojej rodzinie** – objął Osiala.

I tak właśnie wstąpili do... Pewnego zgrupowania. Zgromadzenia dorosłych, młodzieży, dzieci... Łączył ich jeden znaczący fakt – każdy z nich kiedyś był cywilem. Przeżywał wojnę pierwszy raz i walki o przetrwanie uczył się z dnia na dzień. Każdy wrzucony był na głęboką wodę, kurczowo trzymając się tych, którzy mieli jeszcze siłę dryfować. Wszystko, aby nie utonąć. Osial i Morax dosyć szybko zostali zaakceptowani przez innych, przyjęci w ich grono. Otrzymali nawet broń do samoobrony, oczywiście po dłuższym czasie przynależności. Ale nie wiedzieli, że zaufanie jest rzeczą nieistotną na wojnie. Coś, co ma cię bronić, może równie dobrze zostać wbite w twoje plecy przez obcą dłoń.

Najbliżej byli z Havrią, której Morax był do zgonnie wdzięczny za opiekę nad nim... I Osial z resztą też. Spędzali czas na wspólnym śmianiu się po nocach z najdurniejszych rzeczy, dzieleniu się wszelkiego rodzaju plotkami. Była dla nich trochę jak starsza siostra... Najprawdopodobniej dlatego, że zamiast przyłączać się do ich wybryków, wołała im tłumaczyć, że nie powinno się tak robić. Bez sprzedawania ciosu w pochylony kark, krzyku. Na spokojnie, nie gubiąc swojej miękkości. Delikatności. A dziewczyna była wyjątkowo łagodna. Nie przeżarta przez wojnę. Nawet, jeżeli straciła wiele osób. Doskonale wiedziała, jak wygląda śmierć, zwłoki, a mimo to nadal potrafiła chodzić z promiennym uśmiechem, odpowiadając spokojnie na wszelkiego rodzaju obelgi i zgryźliwe komentarze. Które z resztą zdecydowanie się zmniejszyły, po dołączeniu jego i Osiala.

Wysłano ich na ekspedycję, aby zbadali teren. Morax zgubił swój nóż, który dostał w prezencie za należenie do ugrupowania. Nie przejął się tym jakoś bardzo, głównie dlatego, że Havria szybko go uspokoiła mówiąc, że wypadki się zdarzają. Niezbyt wzięli powierzona im pracę na serio, dla zabicia czasu bawiąc się w berka. Jednak nagle Osial stanął jak wryty.

Podniósł głowę do góry, wciągając powietrze w płuca. wystawił rękę, aby tym samym zatrzymać chłopaka, który akurat do niego podbiegł. Co wyczuł? Krew. Metaliczny zapach, drapiący w gardło. Atmosfera momentalnie stała się wyjątkowo gęsta, niepokojąca.

— **Może to jakieś zwierzę?** — rzucił momentalnie Morax, ściszając swój głos. Osial milczał w zadumie, by zaraz powoli iść w stronę nieprzyjemnego zapachu i rzucić do przyjaciela "Chodź". Dobrze, że dotarli do tego miejsca jako pierwsi. Zza drzewami znaleźli... Człowieka. Kobieta, gwałtownie ścisła. Oczy miała zamknięte, najpewniej z czystego szacunku do zwłok, a dłonie skrzyżowane na klatce piersiowej. Jednak i to nie ukryło siniaków, połamanych palców. Kości wystawały z ran, zupełnie zmiażdżone. Tak, jakby ktoś zrobił to butem. Ubranie było poszarpane, a na ciele znajdowało się pełno ran. Z łatwością dało się określić tą śmiertelną. Znajdowała się ona na brzuchu. Miękkim, rozerwany. Została wypatroszona, niczym ryba. Jelita wypadły z rany. Ich niektóre części jeszcze świeciły się na słońcu, a reszta była zupełnie wyschnięta, o swojej obecności informując mięsistym zapachem. Poczuli, jak robi się im słabo. Niedobrze. Zakrył usta dłonią, nie mogąc się zdobyć na to, aby podejść bliżej. Obejrzeć, kto to. Jednak Osial miał więcej odwagi. Wziął głębszy oddech, lekko wypinając pierś do przodu i podszedł do zwłok. Przykucnął przy nich i odgarnął włosy z twarzy kobiety... Zamarł. Momentalnie odszedł od nich jak oparzony, próbując powstrzymać łzy.

— **H-Havria...** — wydusił z siebie, zaczynając kaszleć. Zaciskając dłoń na materiale swojej koszuli — **Havria!** Powtórzył ponownie, niczym w amoku i przegryzł swoją dolną wargę. Łza spłynęła po jego policzku. Morax wbił wzrok w zwłoki. Havria? Podszedł do nich na drżących nogach i... Tak, to była zdecydowanie ona. Jego oddech przyspieszył. Znajdowała się przed nim jego... Przyjaciółka. Ta sama, która jeszcze rano czule mówiła mu, aby niczym się nie przejmował. Wplótł dłonie w swoje włosy, momentalnie je zaciskając. Z całej siły. Tak, jakby właśnie chciał je wyrwać. I najchętniej by tak zrobił, nie potrafiąc dać upustu swojej goryczy. Mieszanie złości, przerażenia, czystej rozpacz. Jednak była jeszcze jedna rzecz, która prawie umknęła jego uwadze. Pomiędzy jelitami, które niemalże rozlały się na ziemi, wbity był nóż. Jego nóż. Serce podeszło mu do gardła na ten widok. Ktoś... Ktoś chciał go zrobić. Nie mógł nawet zapłakać, bo czas bezwzględnie odebrał mu wszelką możliwość reakcji. Pędził dalej, wraz ze sobą prowadząc okropne skutki. Ułude, niesprawiedliwość.

— **Havria! Mówiłem wam, mówiłem DO CHOLERY, że tak właśnie kończy się przyjmowanie jakiś pierwszych lepszych szczeniaków z ulicy, tylko dlatego, że coś im się dzieje! Myślicie, że pies z połamana szczęką nie ugryzie was, gdy już wyzdrowieje? Banda kretynów. Ale proszę, chcieliście swoich konsekwencji, to je macie! Patrzcie tylko na to! Ekspedycja, tak wygląda wasze oddanie grupie w zamian za pomoc!** — wycodził przez zęby mężczyzna, wychodzący na przód małej grupki składającej się z członków ich rodziny. Morax wbił w niego wzrok, zupełnie zszokowany. Chciał zgłosić sprzeciw, ale gwałtowny uścisk na jego ramieniu nie pozwolił mu na to. Osial bez słowa ogłosił ucieczkę, szarpiąc go z całej siły, aby zaczął biec wraz z

nim. Znowu uciekali. Zaraz po tym, jak już liczyli na spokój. Szczęście. Usiedli na ziemi tylko po to, aby zaraz się pod nimi zapadła. Rzuciła ich prosto w przepaść.

– **Tak, uciekajcie śmiecie! Jak was kiedykolwiek spotkam to obiecuję, zabije was... Ubiję! Jesteście dla mnie nikim, zwykłym chłamed! Mogliśmy pozwolić wam zdechnąć, obydwóm! Havria... Och, Havria... Na twoje miękkie serce nie było nigdy miejsca na wojnie... Ale mam nadzieję, że znalazło odpowiednie miejsce... Gdziekolwiek teraz jesteś** – ściszył głos, dalej wygłaszając swój monolog, pozwalając im uciec. Biec tyle, ile mieli sił w nogach. Całą drogę płakał. Z trudem łapał powietrze, niemalże się dławił. Havria... Nie żyła. Znowu... Nie mieli gdzie się podziać. Aż w końcu nie dał rady. Runął na ziemię i trzęsąc się skulił. Osiał jedynie westchnął, zatrzymując się.

– **Najwidoczniej to nie było miejsce dla nas, Morax. Świat jest... Wielki. Z pewnością znajdziemy coś jeszcze, no chodź...** – powiedział, łapiąc go za koszulę i ciągnąc do góry. Ani drgnął.

– **Havria... Nie żyje, oni myślą, że... Że zabiliśmy Havrię-** nie, że ja to zrobiłem... Tam był... Był mój nóż... Zabili ją... Zabili ją moim nożem, to... M-Moja wina... – pociągnął nosem, nie podnosząc głowy. Chłopak kląsknął, zakłopotany tą sytuacją. Zupełnie tak, jakby wcześniejszy szok z niego całkiem uleciał, wraz z ich ucieczką.

– **Ale ja wiem, że tego nie zrobiłeś. Havria i tak z pewnością by umarła. Lepiej, że stało się to teraz, niż później. Spójrz na to z tej strony - już się nie męczy. Widziałeś, jak płakała po nocach, bo komuś działa się krzywda** – powiedział na odwal się, na co Morax zacisnął zęby. Złość. Jak mógł tak mówić? Podniósł się i z całej siły uderzył go z pięści w twarz. Osiał chwiejnym krokiem cofnął się do tyłu.

– **Ach tak?** – warknął, aby zaraz mu oddać. Szarpali się. Bili, aż do momentu, gdy Moraxowi nie zaczęła lecieć krew z nosa, po ciosie ze strony przyjaciela. Osiał milczał przez dłuższy czas, po prostu się w niego wpatrując, jednak po chwili zabrał głos.

– **Przepraszam, Morax** – pokręcił głową, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nic. Chłopak jedynie przyłożył rękaw do nosa, próbując jakoś zatrzymać krwawienie.

Długo szli w ciszy, bez najmniejszego celu. Idąc, bo mieli iść, mimo tego, że są już wystarczająco daleko. Doszli do domku... Gospodarstwa, które niemalże ukrywało się pośród drzew. Światło wciąż się paliło, a na dworze robiło się coraz ciemniej, chłodniej. Osiał zaproponował, aby zaryzykować i zapukać do gospody, prosząc o nocleg. Morax przytaknął w odpowiedzi, kierując się w stronę drzwi. Zapukał lekko i otworzył mu mężczyzna w podeszłym wieku, mierzając jego i przyjaciela spokojnym wzrokiem.

– **Mogę wam jakoś pomóc, chłopcy?** – słysząc swój ojczysty język, poczuł ulgę. Osiał otworzył usta, chcąc zacząć mówić, jednak przydepnął mu nogę, przez co ten wydał z siebie jedynie syknięcie.

– **Moglibyśmy u pana przenocować? Nie mamy domu... Możemy w ramach zapłaty nawet pomóc przy gospodarstwie** – zaproponował zmęczonym głosem. Starszy podrapał się po brodzie, myśląc przez chwilę.

— A mam jakiś inny wybór? Wchodźcie szybko, zanim zmarzniecie. Jutro pomyślimy nad tym, jak mi się odwdzięczycie — odsunął się i wpuszczał ich do środka.



rozdział V:guizhong.

Mężczyzna, który przyjął ich pod swój dach był wyjątkowo dobry. Dał im kolację, pozwolił się umyć i co najważniejsze — zgodził się na to, aby u niego przenocowali. Pokazał im pokój gościnny, w którym mieli spać. Miał jedno łóżko, ale dopóki pełniło swoją rolę, wcale im nie przeszkadzało. Znowu pogodzili się bez słowa, zaraz przed snem. Postanowili więcej nie rozdrapywać starych ran i nie zahaczać o temat Havrii. Niech martwi pozostaną martwymi. Nie warto męczyć ich imienia już po śmierci. Spał długo i gdy się obudził, nikogo nie było w domu. Ani właściciela, ani Osiala. Ubrał buty i postanowił wyjść. Od razu usłyszał rozbawione głosy mężczyzny i swojego przyjaciela, którzy robili coś na podwórku. Mimo to nie podeszedł do nich, opuszczając posesję. Potrzebował po prostu czasu dla siebie. Nic więcej. I chciał przy okazji rozejrzeć się po terenie. Chodził tak, oglądając to, co otacza dom, gdy nagle trafił na łąkę. Porośnięta była wszelkiego rodzaju kwiatami, a co najdziwniejsze — liliami. Z pewnością nie była dzika. Ruszył do przodu, gdy nagle zauważył dziewczynę, która stojąc wśród roślin, zapisywała coś w zeszycie. Gdy tylko go zauważyła, spojrzała w jego stronę, zamykając zeszyt.

— Nie powinienes się tak zakradać do innych, jeżeli chcesz zrobić dobre pierwsze wrażenie — po swojej wypowiedzi przyłożyła palec do ust, robiąc ciche "ćśś".

— Twojego kolegę już znam.. Osial. A ty jesteś? — kim ona była? Łagodny uśmiech, łudzaco przypominający ten Havrii, a jednak słowa dziewczyny były nieco... Ostrzejsze. Sprawiały wręcz, że czuł się głupio. Jakby był mniej... Wychowany, niż ona. Czyżby życie w lesie na tyle pozbawiło go dawnych manier? Wpatrywał się w nią, by zaraz zawstydzony się ocknąć.

— Ach- Morax- Nazywam się.. Morax — przedstawił się nieco niezręcznie, czując wypieki na twarzy. Nieznajoma jedynie się zaśmiała.

xx- Miło cię poznać, Morax. Jestem Guizhong — przedstawiła się nadal dosyć rozbawiona jego nietaktem. Podeszła do niego i podała mu rękę. Uścisnął ją delikatnie, Guizhong..

Była córką człowieka, który przygarnął ich pod swój dach. I swoją mądrością zupełnie go przerastała. Wiedziała o wiele więcej od niego i zachowywała się z pewnością lepiej. Nie reagowała łatwo nerwami na pierwszą lepszą rzecz i sama próbowała go nauczyć opanowania. Często po skończonej pomocy na podwórku, pierwsze co robił to szedł do niej, aby spędzić z nią jak najwięcej czasu. Rozmawiając o kosmosie, historii... Miała wiedzę nie tylko książkową. Dzieliła się również swoimi własnymi przemyśleniami, przy okazji zachęcając go do tego samego. Tyle, że jej

wnioski były z pewnością mądrzejsze.

Zaczął spędzać mniej czasu z Osialem. Guizhong działała na niego niemalże jak magnes. Uwielbiał przebywać z nią i chciał robić to jak najwięcej. Jej ojciec widząc to, był jeszcze bardziej skory to dłuższego zatrzymania chłopców pod swoim dachem. Cieszył się szczęściem córki. Tym, że znalazła sobie przyjaciela. Bo Osiał raczej za nią nie przepadał. Uważał ją za przemądrzałą. I śmiało o tym mówił Moraxowi, na co ten zbywał go machnięciem ręki.

Tego wieczoru siedział wraz z dziewczyną, oglądając nową książkę, która dostała od swojego ojca. Był to jakiś kryminał, opowiadający o łączącym się w jedną całość cyklu morderstw. W ciszy słuchał, jak Guizhong czyta, głowę opierając na jej kolanach. Jednak dużo bardziej ciekawsza była dla niego jej twarz. Skupiona, ale wciąż rozluźniona. Oczy śledziły tekst, usta delikatnie się poruszały... Przełknął ślinę. Była piękna, mądra... I...

– **Słuchasz mnie, czy patrzysz się na moją twarz?** – zaśmiała się, odgarniając jego włosy. Odwrócił wzrok zawstydzony, nagle czując pewne ukłucie w piersi.

– ... **Guizhong...** – zaczął, na co ta odpowiedziała mu prostym "mhm?".

– **Czy... Jest jakiś sposób, aby zatrzymać czas? Chociaż na chwilę?** – zadał wyjątkowo abstrakcyjne pytanie, przysmykając oczy. Zdziwiona spojrzała na niego, jednak nie miała zamiaru go wyśmiewać.

– **Jest... Teoretycznie jest. Zdjęcia. Jak zrobisz czemuś zdjęcie, to zawsze już będziesz je miał przy sobie. Czemu się pytasz?** – uniosła kącik ust, w oczekiwaniu na odpowiedź. Westchnął, czując się coraz ciężiej.

– **Chciałbym już na zawsze zatrzymać to... Jak jesteśmy razem. Wszystkie te chwile. Chciałbym, abys już zawsze przy mnie została. Nie chcę cię stracić** – powiedział, próbując walczyć z suchością w gardle. Dziewczyna otworzyła szerzej oczy, po chwili jednak łapiąc go za dłoń.

– **Mogę ci jedynie obiecać, że zawsze przy tobie będę. Przynajmniej na tyle, ile pozwoli mi świat... Ale, jeżeli chcesz coś materialnego...** – podniosła się, dając oczywiście czas na to, aby Morax zabrał głowę z jej kolan. Podeszła do regału z książkami, wydając spomiędzy niego swoje zdjęcie. Najpewniej miało być do dowodu. Wręczyła mu je, zaciskając na nim jego rękę.

– **To dla ciebie, może to będzie ci o mnie przypominać** – delikatnie otworzył swoją pięść, w której znajdowało się zdjęcie i spojrzał na nią. Uśmiechnął się, powstrzymując łzy. Nie odpowiedział nic, w obawie przed płaczem i mocno ją przytulił. Ta złożyła ostrożnie pocałunek na jego czole, odwzajemniając uścisk. Mimo wszystko nadal czuł niepokój. Pulsujący ból w środku, niepewność. Chciał jej powiedzieć tylko jedno, ale nie miał odwagi. Nie potrafił wydusić z siebie tych słów. *Proszę, nie umieraj.*

Była jego słońcem, które rozjaśniało mu drogę. Jego umysł, zasnuty przygnębieniem. Zupełnie wypełnony przez pajęczynę, którą sam tkął. Wkroczyła, delikatnie ją odsuwając, aby zrobić miejsce dla dobroci. Na nowo ucząc go delikatności, którą zabił wykształcony wcześniej wybuchowy charakter. Chciał mieć ją przy sobie na zawsze. Przysięgnął sam przed sobą, że będzie chronił jej jak największy skarb, bo dała mu tyle, ile

nie mogli podarować mu wszelkie pieniądze.

Dziewczyna zawsze prosiła go, aby dbał o Liyue. Śmiało przyznawała, że powierzyła mu całe swoje serce. I zależało jej na nim, najbardziej na świecie.

Puste słowa nie mogły jej przy nim zatrzymać. Nic nie mogło. Bo wojna dalej hulała i rozszarpała każdego, kto stał na jej drodze. Guizhong nie było przez dłuższy czas w domu, dlatego nieco zaniepokojony Morax postanowił jej poszukać. Przeszukał całe podwórko i pozostało ostatnie miejsce – łąka. Miejsce, do którego miała nawyk tak często przychodzić, aby rozmyślać.

Stał, uważając, by czasem nie stanąć na kwiatku i momentalnie zastygł w bezruchu. Wręcz *umarł* w tym samym momencie, gdy zobaczył na płatkach krew. A w głębi kręgu – ciało dziewczyny. Łzy od razu wypełniły jego oczy. A on sam zaczął biec, nie zwracając uwagi na to, że niszczy kwiaty. Oczy miał całe mokre. Łzy spływały mu ciurkiem po policzkach, gdy padł na kolanach przed zwłokami dziewczyny, swoją twarz wtulając w jej klatkę piersiową. Sztywną, z dziurą po ranie postrzałowej. Krew już dawno z niej nie leciała, zasychając na ubraniu. Ujął jej zimne dłonie, patrząc na nią z niedowierzaniem. Jednak puste oczy dziewczyny i stróżka krwi, sącząca się z jej ust utwierdzała go w przekonaniu, że faktycznie nie żyje. I on nic nie może zrobić. Zmarła wśród kwiatów, jako ofiara wojny. Bezbronna owca, która akurat się pasła i ustrzelona przez myśliwego, stała się prostym celem, dla kalibracji broni. Za swoje *plugawe* Liyue, które niczym plaga szarańczy było pochłonięte walką. Oskubywane z wszelkich wartości. Była jego słońcem, które powoli teraz gasło i zabierało ze sobą całe ciepło. Z własnego ciała i jego, pozostawiając go w bezruchu. Szoku. Chłodnej rozpacz. Drżącego, ze szkarłatną krwią na dłoniach. Palącym poczuciem winy. Jedynym, co zostało po jej dobroci. Wcześniej rozgrzewała go od środka, teraz powoli stygnąca ciecz była ostatnią pozostałością po jej ciepłe.

Pochylił się nad nią, palcem przejeżdżając po jej chłodnych wargach. Martwych. Złożył na nich krótki pocałunek, momentalnie zaczynając jeszcze gorzej płakać. Kierując swoją głowę ku górze, jakby przeklinając tego, kto na to pozwolił. Jakiś byt, tasujący ich karty. Bawiący się ich losem. Długo jeszcze czuwał przy dziewczynie i kwiatach. Z godziny na godzinę jej ciało było jedynie coraz bardziej... Martwe. Dziewczyny już tutaj nie było i nigdy nie wróci. Zostawiła go. Nie, nie zostawiła. Odebrali mu ją. Jej uśmiech, jej... Madrość. Jedyne co mu po niej zostało to co, czego go nauczyła. I zdjęcie, które trzymał w kieszeni.



★rozdział VI:memento mori.

Miał nowy dom, ale wszystko musiało legnąć w gruzach. Gdy wrócił z

łaki, od razu zaczął szukać swojego przyjaciela. Akurat ten rąbał drewno. Osial Spojrzał na Moraxa i już na język pchał się mu jakiś dokuczliwy żart, ale zauważył to, że cały jest we krwi.

– **Co się sta-** – Morax przerwał mu, podchodząc do niego i wrywając mu siekierę z ręki, wbijając ją w pień.

– **Musimy stąd uciekać. Teraz. Nie każ mi się powtarzać** – powiedział przez zęby, pod koniec zdania gwałtownie wypuszczając powietrze z ust. Nie miał zamiaru mu mówić o śmierci Guizhong. Wiedział, jaka będzie jego reakcja. *Była za miękka, aby przeżyć.* Nawet, jeżeli mu ufał... To zatrzyma dla siebie. Nie ugnie się pod jego prośbami, pod niczym. Guizhong była ostatnią osobą, o której chciał słuchać jakichkolwiek negatywnych komentarzy. Ruszył przed siebie. Po raz kolejny nie mieli dokąd iść, znowu musieli zacząć się włóczyć. Miał już tego dosyć. Życia w ciągłym ruchu, ucieczce. Ale jednak... Nie potrafił spojrzeć już w oczy mężczyźnie, który dał im dach nad głową. Nie pod tym, jak trzymał w rękach zwłoki jego córki. Wyszli ukradkiem, po cichu. Znowu bez celu. Martwa, krępująca cisza. Tylko to im towarzyszyło. Morax niczym syn marnotrawny wrócił do Osiala po tym, jak stracił wszystko. Stał jednak, zaciskając pięści.

– ... **Mam pytanie** – zaczął z nerwami, po chwili otwierając swoje dłonie. Osial uniósł jedną brew, nie potrafiąc się zdobyć na ani jedno słowo.

– **Co się stało z twoimi rodzicami, Osial? Minęło dużo czasu więc jestem pewien, że możesz mi o tym powiedzieć** – czy robił to z nerwów? Tak. Myśl o tym, że mógł zareagować na śmierć Guizhong tak samo, jak na śmierć Havri niesamowicie go zirytowała. Dlatego próbował mu dogryźć. Znaleźć powód jego bezdusznosci. Braku szacunku do życia.

– ... **Zabili ich... Wiesz, wrogie wojska...** – odpowiedział wyjątkowo hasłowo. Postanowił dać mu spokój. Tym samym poprzez... Gorzką kpinę, wyładowując swoją złość. Nie chce mówić? Niech nie mówi, skoro mu *nie ufa*. Chodzili tak przez wiele godzin, ale nagle natknęli się na... Wojsko. Jednak krótkie pytanie czy "są swoi" rozviało ich zmartwienie. Widmo śmierci z rąk wroga. Dołączyli nieformalnie do jednostki, walcząc w ramie w ramie z żołnierzami. Relacja Moraxa i Osiala zdecydowanie się polepszyła. Głównie dlatego, że jego przyjaciel zawsze zabijał za niego, więc Morax nie musiał tego robić. Bo się po prostu bał. Brzydził zabicia kogoś z własnych rąk. A Osial? Najwidoczniej już dawno na to zobojętniał, co śmiało pokazywał swoją postawą. Dawnym zapomnieniem łez. Chwilowe zmartwienie, przelotny smutek, który zwykł okazywać na samym początku zupełnie znikł. Wyparował. Była jedynie chłodna obojętność. Brak reakcji. Traktował śmierć jako zwykłą kolej rzeczy – czy była przedwczesna, wymuszona, czy też nie.

Lecz jego chronienie pleców przyjaciela nie mogło trwać wiecznie. Oddział w końcu zorientował się, że Morax stroni od zabijania wrogów. Dlatego więc postanowili to zmienić. Sprawdzić to, po czyjej jest stronie.

– **Strzelaj, Morax! Chyba, że wolisz, aby ktoś ci strzelił w łeb** – nastąpiła pora sprawdzenia jego umiejętności. Żołnierze za nim krzyczeli wszelkiego rodzaju wiwaty, obelgi. Zachowywali się niczym zwierzęta.

Stado wygłodniałych psów, którym miał rzucić właśnie mięso. Więc skomleli jak najgłośniejszy, aby przyspieszyć jego czas reakcji. Wymierzył pistolet w głowę wroga, którą Osial za włosy lekko podnosił do góry. Tak, aby patrzył prosto na swojego oprawcę. Widząc, że Morax zaczął się wahać, ruchem dłoni pokazał, aby się do niego przybliżył. Niepewnie więc podszedł do przyjaciela, a ten pokierował jego dłoń tak, aby pistolet znalazł się zaraz pod żuchwą żołnierza, którego Morax miał zabić.

— **Zrób to szybko. Na wojnie tego nie unikniesz. Nie chcesz, aby brali cię za tchórza, prawda?** — zacisnął z całej siły powiekę, nie chciał na to patrzeć. Pociągnął za spust i...

Strzał. Ptaki poderwały się z drzew, przerażone odlatując jak najdalej. Poczuł coś mokrego na swoim policzku. Kawałek... Czegoś. Dłonią delikatnie tego, co się na nim znajdowało. Mózg. Gąbczasty kawałek mózgu, który pod impetem wystrzału znalazł się na jego policzku. Otworzył oczy i dopiero wtedy zobaczył, co zrobił. Głowa mężczyzny, którego zabił otworzyła się niemalże niczym kwiat. Nie, niczym *lilia*, tak samo zakrwawiona... Tak... Guizhong... Zrobiło mu się słabo i to nie z powodu twarzy żołnierza, która była teraz nie do poznania. Kawałki mózgu znajdowały się niemalże wszędzie. Włosy, mięso... Jedynym, co potwierdzało to, że był to kiedyś człowiek, była gałka oczna, która trzymała się nieuszkodzonym nerwie. Spoczywała na jego policzku. Zakrył usta dłonią, jednak nie wytrzymał. Zwymiotował. Zabił go. Zabił. Był na równi z osobą, która zabiła Guizhong, Havrię... Jego matkę... Spojrzał przelotnie na dłoń, brudną od jego wymiocin.

Osial delikatnie poklepał go po plecach, mówiąc mu ciche *gratulacje*. I od tego momentu zaczął zabijać. Nie dlatego, że chciał, a musiał. W ramach odreagowania, zapomnienia o tym, co robił, zaczął podkraść alkohol innym żołnierzom. Często upijał się do nieprzytomności przy gorszych momentach. Przy okazji widząc jego stan zapoznali go z pewnym narkotykiem, wyjątkowo znanym na wojnie - opium.

Wojna jednak nie trwała wiecznie. Któregoś pięknego dnia obudziły go dźwięki... Prawdziwego szczęścia. Śmiechy, wiwaty, muzyka. Momentalnie zostało mu powiedziane, że wojna się skończyła. Koniec jego ucieczki. Każdy mógł wrócić do normalnego życia. Do rodziny, jeżeli wciąż ją miał... A on mimo to czuł się... Niedobrze. *Było mu niedobrze.*



rozdział VII:rex lapis.(osial?)

Po wojnie było dosyć ciężko stanąć mu na nogi. Dostał oczywiście pieniądze od kraju, aby mógł na nowo zacząć życie, tak gwałtownie odebrane mu przez wojnę, ale... To niewiele dało. Miał przy sobie ciągle Osiala, z którym zamieszkał. Jednak i tak czuł się niezbyt szczęśliwy.

Zupełnie... Wyprany z wszelkich wartości. Z moralności. Z krwią na rękach. Pierwsze co zrobił to wyprawił pogrzeb swoim rodzicom. A prędzej - znalazł im miejsce na cmentarzu, gdzie postawił im pomniki.

Gospodarka Liyue po wojnie była w ruinie. Dlatego też w ramach zadośćuczynienia, postanowił pomóc przy postawieniu jej na nogi. Pracował ciężko, często nie śpiąc nocami, ale efektywnie. Po paru latach gospodarka na nowo prawidłowo funkcjonowała, a jemu został przypisany tytuł archona i przydomek *Rex Lapis*. Zaś Osial zaczął być dobrze znany jako jego najlepszy przyjaciel.

Czas mijał. Osial się wyprowadził i ożenił, a on nadal był sam. Kochany przez ludzi, ale bez żadnej miłości w swoim życiu. Jedyne co mu pozostało to zdjęcie Guizhong z czasu wojny, które trzymał zawsze w przedniej kieszeni swojego garnituru, zaraz przy sercu. Nie potrafił o niej zapomnieć.

Pewnego dnia Osial zaprosił go na rozmowę przy kawie. Jasne, że przyjechał. Ale zupełnie nie spodziewał się rozmowy, która tam nastąpi.

– **Witaj, Morax. Dobrze cię widzieć w tak dobrym stanie** – powitał go, formalnie obejmując. Tak, jakby przed sobą nie miał przyjaciela, a kogoś obcego.

– **Osial, dbam o siebie... Lecz muszę przyznać, że dobrze też widzieć cię całego i zdrowego. Jak twoje samopoczucie? Jak Beisht? Pozdrów ją ciepło ode mnie. Właśnie, przywiozłem wam ciasto. Nie miałem serca przyjeżdżać z pustymi rękoma** – uśmiechnął się łagodnie, wręczając mu swój podarunek. Rozmawiali długo; żony Osiala nie było w domu, więc tak jak on określił - *"nie musieli się przed nikim kryć ze swoimi myślami"*. Wszystko zapowiadało się dobrze, przyjemnie. Jednak przyjaciel ujął czule jego dłoń, aby zaraz powiedzieć mu najgorsze słowa, jakie kiedykolwiek mógł usłyszeć.

– **Chcę zniszczyć Liyue, Morax. Nienawidzę tego pierdolonego państwa** – powiedział chłodno, wbijając paznokcie w jego skórę.

– **Liyue wyzarło mnie od środka, rozumiesz? Cała ta wojna... Ludzie... I ty z pewnością mnie rozumiesz. Przeżyłeś wojnę u mojego boku, zabijałeś tak jak ja, ale dla tego... Robactwa, pospólstwa nie było warto. Dlatego proszę cię, przyjacielu. Zniszcz ten... Ciemnogród razem ze mną. Znasz go niemalże od środka, od głowy... Jak to mówią... Tak, ryba najpierw psuje się od głowy... Więc, jak będzie?** – spojrzał mu prosto w oczy. Na to, jak krople potu spływają mu po skroni. Robi mu się wręcz gorąco. Niepewność zżera go od środka. Musiał odpowiedzieć. Odpowiedzieć na... Na coś, na co się nie zgadzał. Odchrząknął, tym samym znajdując pretekst, aby przerwać ich kontakt wzrokowy

– ... **Jesteś moim przyjacielem, więc wiele jestem ci winien... Jednak musisz dać mi czas, aby się zastanowić. Możesz na mnie zawsze liczyć, lecz... Podejmowanie decyzji o czymś tak istotnym od razu byłoby... Lekkomysłne z mojej strony. Mam nadzieję, że to zrozumiesz** – odpowiedział, nie odmawiając oczywiście od razu. Osial jedynie gwałtownie wstał i spojrzał na niego z niechęcią. Zraniony.

– **Idę do łazienki** – odparł ostro, wychodząc z pomieszczenia. Morax pokręcił głową i westchnął, dłońmi naciskając na swoją skroń i zastanawiając się, co zrobić. Nie mógł pozwolić na to, aby zniszczył jego

ojczyznę. Kraj. Guizhong... Kochała Liyue. A on kochał ją, jako szczeniak nieznający świata, ale znający śmierć. Nie chciał zawieść tej młodej dziewczyny, która z pasją opowiadała o swoim państwie. Wstał, otwierając górne szafki. Szukał, aż w końcu znalazł. *Paracetamol*. Pokruszył cały listek, wrzucając go do herbaty przyjaciela. Czekał w ciszy, aż wróci. Zmienili temat rozmowy, aby nie wracać do ich wcześniejszego nieporozumienia. Osial wypił cały napój, niczego nie podejrzewając. W końcu przyszedł czas ich rozłąki. Nie chciał zostawać tutaj ani chwili dłużej. Dennie upewniać się, że jego plan zadziałał. Pożegnał się z przyjacielem i wyszedł. Wbił wzrok w gwiazdy, jeszcze chwilę stojąc przed jego drzwiami. Usłyszał dudnienie, upadek. Dźwięk głowy obijającej się o podłogę. I dopiero wtedy postanowił wrócić do siebie. Jednak mocne więzi mogą zacisnąć się na szyi. Zaufanie może zabić. Lina nie pociągnie w górę, ani w dół. Przerwie się, gdy jedna ze stron przetrnie ją nożem, słysząc raniące słowa. Tak właśnie kończyła się ich przyjaźń. Przetrwała wojnę, ale nie przetrwała czystego szaleństwa. Usiadł w kuchni, wyciągając wino i momentalnie zaczynając płakać. Zabił go. Ostatniego ze swoich przyjaciół. Nie zginął przez wojnę, nie. Zginął przez niego. Za to, że chciał zagrozić Liyue. Miał powód na zabicie go i to wyjątkowo dobry, ale wciąż czuł się ohydnie. Obrzydliwie. Wieści o śmierci Osiala rozeszły się szybko. Jego zwłoki odkryła Beisht, która wróciła do domu nad ranem. Sprawę zatajono uznając, że Osial popełnił samobójstwo, nie potrafiąc wytrzymać ciężaru wojny, ciężącym na nim niczym znamię. Skaza.

❖ rozdział VIII:zhongli.

Nie był szczęśliwy jako Rex lapis. Dlatego chciał jak wąż zrzucić starą skórę, naznaczoną mnóstwem blizn i ran, aby zacząć na nowo. Zatopił się w papierkowej robocie, próbując tym samym ukoić swój ból. Nie pozwolić sobie na zbędne rozmyślanie. Przygarnął pod skrzydło chłopaka z byłej jednostki wojskowej - Yaksha - nadając mu imię Xiao. Był jedynym ze swojej organizacji, który przeżył. Naturalnie poczuł do niego pewnego rodzaju sympatię, ponieważ tak jak on został sam.

W celu rozpoczęcia nowego życia, musiał podjąć drastyczne środki. Zawarł kontrakt z Fatui. W zamian za upozorowanie jego morderstwa, da im wolną drogę do sprawnego rozwoju w Liyue. Przejęcia jego gospodarki. Chciał pochować swoje miano jako Morax wraz ze wspomnieniami o przyjaciółach, bo tam właśnie było jego miejsce. Morax chciał umrzeć. Być wspomnieniem tak jak ci, którzy byli bliscy jego sercu. Dlatego chciał pozwolić na to, aby i on odszedł. Wejść na świeżo w nowe życie. Przeżyć odebraną mu przez wojnę młodość - jako Zhongli Jin. W ramach planu zamachu na Moraxa,

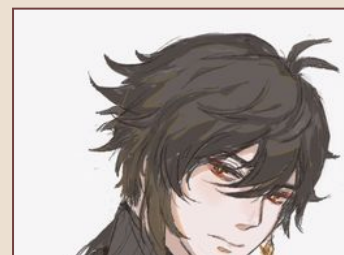
zapoznał się z Childe. Początkowo patrzył na niego z przymrużeniem oka. Mimo to udało się mu zdobyć jego sympatię i już wkrótce zyskał miano przyjaciela. Ich szczerą relacją była utkana z kłamstw. Fałszywych uśmiechów. Wszystko było na pokaz, częścią planu.

Aż w końcu nadszedł dzień, w którym miał umrzeć. Skończyć z Moraxem. Po jego zwłokach na świat miał przyjść Zhongli. Fatui nie do końca się go posłuchało, bo cała akcja miała przejść bez żadnego rozlewu krwi, a niestety - nie wszystkim udało się ewakuować z budynku na czas. Były inne ofiary, nie tylko archon Liyue - Morax. Childe nie miał zielonego pojęcia o jego wcześniejszych układach i najzwyczajniej na świecie uznał go za zdrajcę, czego szczerze nie ma mu za złe. O niczym nie wiedział, miał prawo być zły.

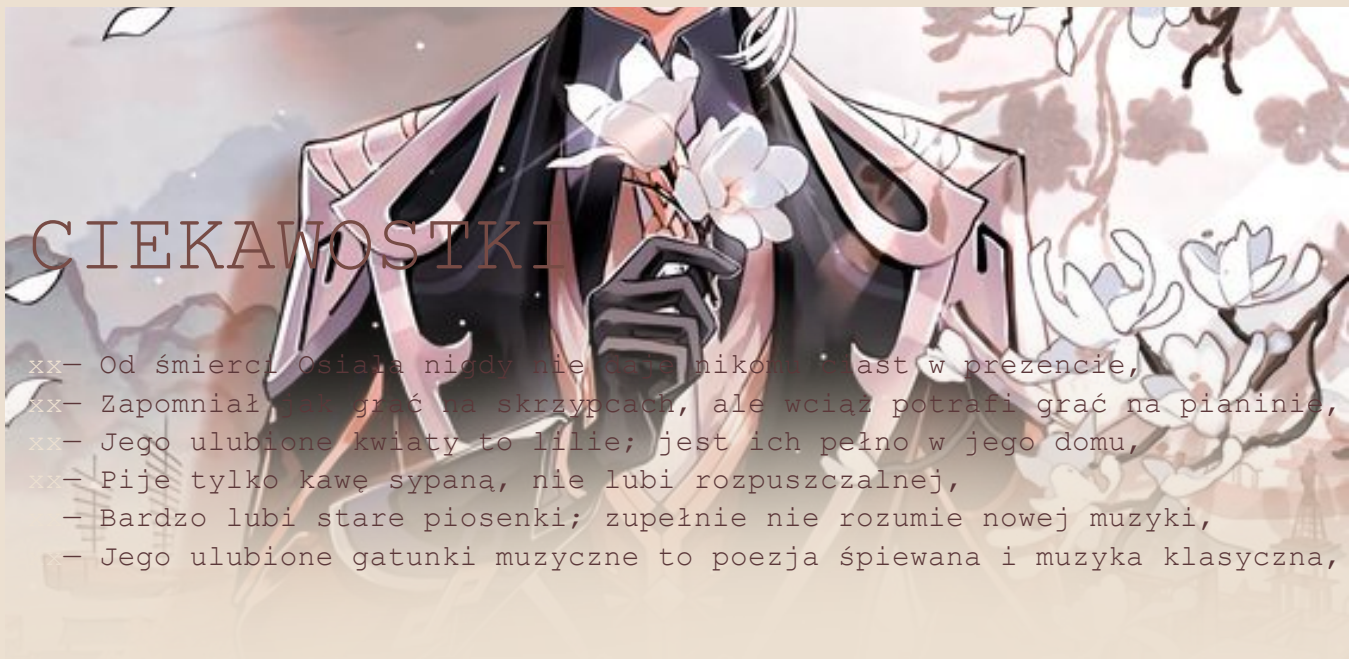
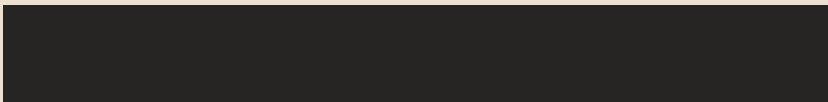
Jako Zhongli rozpoczął pracę konsultanta zakładu pogrzebowego Wangsheng, będąc nim po dziś dzień. Jest to wyjątkowo odpowiadająca mu praca - z pewnością lepsza, niż ta archona. W końcu może odpocząć. Z dala od tego, co było. Z dala od swojego poprzedniego imienia, splamionego krwią, winą. Teraz jest kimś nowym. A wspomnienia pozostają wspomnieniami. Nie jest już nimi spętany, bo jego ja już nie jest z nimi powiązane. I nigdy nie będzie.



Sama jego twarz na myśl przynosi powagę, mądrość. Rysy ma ostre, doskonale widoczne. Szczeka dokładnie się odznacza, podobnie jak kości policzkowe. Czas go nie oszczędził, w ramach śmiesznej nagrody za przeżycie tylu nieszczęść wręczając mu zmarszczki - najbardziej widoczne są te przy oczach i kącikach ust. Nadają pewnego ciepła jego postaci, głównie dlatego, że każdy może z góry



założyć, że są od uśmiechania. Włosy ma długie i proste, wyjątkowo zadbane. Światło odbija się od nich, przez co sprawiają wrażenie jakby opalizowały. Zupełnie niczym pióra kruka. Tyle, że przeblýski są jasne, kasztanowe. Włosy ma w kolorze ciemnego brązu z pomarańczowymi końcówkami, spięte w niski kucyk. Oczy Zhongliego natomiast są odrobinę skośne, zwykle przymknięte, w kolorze intensywnego bursztynu. Okalają je gęste, ciemne rzęsy. Ich barwę podkreślają pomarańczowe kreski, które zawsze można zauważyć na jego twarzy. Dłonie ma jak u pianisty - smukłe z długimi paznokciami. Jednak nie są jakieś delikatne, wręcz przeciwnie. Szorstkie, zabliźnione, wyhartowane wojną. Dlatego aby je zasłonić nosi rękawiczki. Jest chudy, niemalże szczudłowaty, przez co wygląda wyjątkowo niepozornie. Nikt nie założyłby nawet, że brał czynny udział w wojnie. Dobrze zbudowany; jego mięśnie zdażyły już nieco zaniknąć, ale wciąż widoczny jest ich miękki zarys. Sylwetkę ma typowo męską. Wyćwiczone, szerokie barki i klatka piersiowa, wąskie biodra... Może się poszczycić byciem przystojnym. Gustuje w golfach, najczęściej chodząc właśnie w nich. Zawsze górną część swojej odzieży wpuszcza w spodnie. Dodatkowo często ubiera płaszczy i czarne półbuty, aby dodać swojej aparycji elegancji. Nosi również kolczyk w jednym uchu.



CIEKAWOSTKI

- xx- Od śmierci Osiala nigdy nie dostał nikomu prezentu,
- xx- Zapomniał jak grać na skrzypcach, ale wciąż potrafi grać na pianinie,
- xx- Jego ulubione kwiaty to lilie; jest ich pełno w jego domu,
- xx- Pije tylko kawę sypaną, nie lubi rozpuszczalnej,
 - Bardzo lubi stare piosenki; zupełnie nie rozumie nowej muzyki,
 - Jego ulubione gatunki muzyczne to poezja śpiewana i muzyka klasyczna,

- Lubi operę oraz teatr. Często przychodzi tam gdy ma okazję,
- Ma bardzo duże problemy ze snem i musi przez to brać leki nasenne,
- Jest zwolennikiem leków ziołowych i te chemiczne omija szerokim łukiem,
- Często pije mocną herbatę; jego ulubiona to czarna,
- Nosi okulary do czytania.



LEGENDA

◆ - sympatia | ◆ - miłość | ◆ - szacunek | ◆ - niechęć
◆ - obojętność | ◆ - nienawiść | ◆ - zauroczenie | ◆ - przyjaźń
◆ - zaufanie | ◆ - pogarda | ◆ - zainteresowanie | ◆ - tęsknota

★rodzina

Cuifen Wang | matka [◆◆◆] [★]

Była jego matką. I mimo to, że często zachowywała się wyjątkowo dziwnie; niemalże nieprzyjemnie, wciąż ją kochał. Za każde podniesienie głosu, przelotne spojrzenie, które miało być ukojeniem w jego płaczu... Wojna ją pochłonęła, tak samo jak każdego. Mimo to liczył się z nią aż do końca, pełniła rolę jego sumienia. Aż do chwili, kiedy pierwszy raz pociągnął za spust. Bo w tym przypadku nie było miejsca na zasady moralne. Był to początek biegu o przetrwanie.

Haoyuan Wang | ojciec [◆◆◆◆] [?]

Będąc absolutnie szczerym - nie pamięta niemalże nic o swoim ojcu. Wojna zatarła o nim pamięć, tym samym zmniejszając ból po jego nagłej stracie. Wie tylko, że kiedyś był jego bohaterem. Autorytetem. A teraz był jedynie osobą, którą ledwo pamięta. Którą widzi jedynie na nagrobku, nigdy w swoich wspomnieniach.

Xiao Hara | adoptowany syn [◆◆◆◆]

Chłopak, którego przygarnął pod swój dach; bardzo lubi Xiao i traktuje go niemal jak swojego rodzzonego syna. Troszczy się o niego, będąc gotów wysłuchać wszystkich jego kłopotów i porozmawiać o tym, co leży mu na sercu. Nie przymusza go do otwierania się i mówienia mu o każdym najmniejszym szczególe. Dał mu wolność, więc nie będzie wymagał od niego typowej pokory, o jakiej marzy większość rodziców. Jeżeli chłopak chce zachować coś dla siebie - niech to zrobi. Nie przeszkadza mu to. Nie ciągnie go za język, nie zadaje dużej ilości pytań, tak, aby mógł sam ustalić komfortowe dla niego granice. Wyjątkowo się do niego przywiązał i nie pozwoli na to, aby ktoś go skrzywdził. Nawet, jeżeli ponownie miałby sięgnąć po broń. Jest gotów naprawiać jego błędy i chronić go, w zamian za obronę Liyue przez tyle lat.

★inni

Osial Shui | przyjaciel [◆◆◆◆◆] [*]

Najlepszy przyjaciel, który jednocześnie ciągle pozostawał dla niego chodzącą zagadką. Nie mówił Zhongliemu o niczym, nie przejmował się śmiercią. Od najmłodszych lat zauważał, że Osial jest zupełnie wyżarty przez świat. Jest jedynie zwykłą skorupą, próbując znaleźć w sobie życie poprzez robienie krzywdy. Z początku był ślepo w niego zapatrzony, traktując go jak brata i przejmując jego cechy. Na całe szczęście w ostatnim momencie zorientował się, że wcale nie jest dobrą osobą i porzucił próby jak największego upodobnienia się do chłopaka, którego podziwiał. I tak ufał mu aż do końca, bo mimo swojego charakteru nigdy nie zrobił mu krzywdy. Nie podniósł na niego ręki, opiekował się nim. Lecz mimo to nie mógł zawsze na wszystko się zgadzać. Dlatego zabił go, gdy Osial był pewny, że przyjaciel ufa mu już bezgranicznie, jest jego marionetką i przedstawił mu swój plan plan. Otruł go, później przez długi czas walcząc z poczuciem winy. Młodzieńczą złością na samego siebie, za to, że ponownie zabił. I to jedyną osobę, która była dla niego bliska. Nawet, jeżeli Osial od początku nie był ani trochę zrównoważony, a po wojnie jedynie się to nasiliło, najpewniej z powodu traumy. Nie porozmawiał, nie dyskutował. Zabił. Potraktował jak szkodnika.

Havria Liang | przyjaciółka [◆◆◆◆◆] [*]

Havria była jedną z najlepszych osób, które spotkał. O szlachetnym, dobrym sercu, bezinteresowności w swoich działaniach... Była dla niego czystym uosobieniem dobra. A dobro ginie pierwsze. Nadal jest mocno zmieszany okolicznościami jej śmierci. Tym, że ktoś chciał go zrobić w morderstwo... Jednak stara się nie rozgrzebywać starych ran i pozwolić jej odejść. Nawet, gdy inni myślą, że to on ją zabił - doskonale wiedział, że to nie jest prawda. I wiedział o tym też ten, który w przyszłości będzie osadzał jego czyny na przestrzeni życia i śmierci.

Guizhong Hua | lilia [◆◆◆◆◆] [*]

Piękny kwiat wojny, który zginął pod ciężarem czyjegoś buta. Na początku zupełnie nie rozumiał swoich uczuć do dziewczyny. Nie była to z pewnością przyjaźń. Motylki w brzuszku, fakt, że mógł jej słuchać godzinami i nigdy się nie nudzić... To, że chciał być blisko niej już na zawsze... Nie było to nic innego jak miłość, o której nigdy nie mógł jej otwarcie powiedzieć. Przyznać się przed nią, że się zakochał. Bo odebrali mu ją zbyt prędko, pozostawiając jedynie wciąż krwawiącą dziurę w jego sercu. Chęć do krzyku, gorzkiej żałoby. Aż do końca swoich dni. Bo wiedział, że drugiej takiej osoby jak ona nigdy nie znajdzie. Była tak piękna, niepowtarzalna. A świat po wojnie nie wypuszcza ze swojej głębi żadnego dobra. Za dużo zostało w nim zepsucia, krwi. Dzięki niej udało mu

się porzucić swój dawny, zmierzły charakter. Cała jego chaotyczność zamieniła się w spokój; burza przestała hulać, przy każdym niepowodzeniu zsyłając pioruny. Przysiękł sobie, że dla niej nie wróci nigdy do tego, kim był przed poznaniem dziewczyny. Będzie taki, jak ona chciała. Aby mógł w środku cieszyć się, że gdziekolwiek teraz jest i go ogląda, patrzy na niego z dumą. Szczęściem.

Tartaglia Délire | były przyjaciel [◆]

Mimo tego, że cała ich relacja powstała tylko dla przekrętu, polubił chłopaka. Znaleźli wspólny język i potrafili prowadzić beztroskie rozmowy nawet godzinami. Jednak wszystko zupełnie legło w gruzach, gdy zakończył się cały plan z upozorowaniem jego śmierci... Nie, śmierci Moraxa. Rudowłosey oskarżył go o zdradę, czego Zhongli nie miał mu absolutnie za złe. Uważał, że miał do tego pełne prawo. W końcu przez cały ten czas był w cieniu, nie wiedząc, co tak właściwie go zasłania. Przed czym stoi. Jakimi konsekwencjami, skutkami. Poświęceniem. Jest wobec niego w pełni neutralny, lecz wolałby się z nim nie spotykać w najbliższym czasie. Unikać go do momentu, aż sam nie uzna, że chciałby kontynuować ich znajomość. Albo wykrzyczeć mu prosto w twarz, że jest zwykłym łgarzem, co najprędzej przyjmie ze spokojem, zgodą.

Baizhu Sheng | przyjaciel [◆◆◆◆◆]

Poznał go w aptece, kiedy kupował leki nasenne. Od razu dosyć się polubili, a ich pierwsze spotkanie pociągnęło za sobą kolejne. Teraz śmiało można stwierdzić, że bardzo dobrze się przyjaźnią, a ich spotkania przy herbacie, na których plotkują o rzeczach mało istotnych nie mają końca. Czuje się wyjątkowo komfortowo przy mężczyźnie i bez większego zastanowienia z chęcią zasypuje go opowieściami starszej treści - tylko nie tymi o sobie.